

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 24 STYCZNIA 1931 ROKU

NR. 4

TREŚĆ NUMERU: Problem kobiecej pracy zawodowej — *Zofja Reutt-Witkowska*. Głos siostrzany — *Jadwiga Krawczyńska*. Niema powrotu (nowela) c. d. — *Kazimiera Mazurkova*. Poezje: „Młyn“ — *H. Januszewska*. Ze wspomnień babuni o powstaniu styczniowym — *Marja Wróblewska*. Rok 63 i malarstwo polskie — *I. J. Między skrzydlatą myślą a przyziemnym czynem* — *Aura Wyleżyńska*. Do jakiego pójść kina w stolicy. Kobieta w świecie i w domu. Nowe Ognisko dla kobiet — *Natalja Jastrzębska*. Spróbujmy jeździć na nartach — *W. Prażmowska*. Kobieta dobrze ubrana — *Wanda Dobrzańska*. Monetka-aksamitka (dok.) — *Prof. Feliks Teodorowicz*. Co nosi pan w tym karnawale — *Mabel*. Przed i po balu — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. O nakrywaniu i podawaniu do stołu — *Pani Elżbieta*. Premje dla Czytelniczek „Bluszcza“. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“. Przybranie głowy — *Well*.

PROBLEM KOBIECEJ PRACY ZAWODOWEJ

Konieczność nowoczesnego układu sił roboczych w domu.

Kto z niewiast zwiedził w r. z. Wystawę Higieny w Dreźnie, pamięta niewątpliwie pawilon *Kobiety w rodzinie i pracy zawodowej*. Jedenaście milionów niemek, zatrudnionych w różnych zawodach, czyli więcej, niż szósta część ludności! Czemu? — Tłumaczył to dobry schemat: konieczność utrzymania siebie, a bardziej jeszcze konieczność dopomagania rodzinie, i to zarówno mężowi i dzieciom, jak rodzicom i rodzeństwu. Obok widniały dwa wnętrza, zaludnione kukielkami: „Głupi rodzice“, którzy nie przygotowują córki do pracy zawodowej, bo... „i tak wyjdzie zamaż!“ — tuż „Roztropni rodzice“, którzy dbają o córkę „tak samo, jak o syna, bo przyda jej się fach, choćby wyszła zamaż“.

Nieopodal widniały tablice propagandy gimnastyki, hydroterapii, które utrzymują w równowadze organizm kobiety, zmuszonej częstokroć do wysiłków znacznie większych, niż mężczyzna. Boć kobieta przechodzi ciężką, rodzi, karmi, niewiele przerywając pracę zarobkową, której towarzyszy nieraz jeszcze dużo trudu koła gospodarstwa domowego.

Kobietę, obciążoną obowiązkami, wspiera zarówno druga kobieta w domu, wolna od obowiązków pozadomowych, jako też pomoc reszty domowników. Tu następował frapujący gwóźdź eksponatów:

— Czy tak ma być? — zapytywała tablica pogładowa: — Czy mąż, wróciwszy z biura, syn ze szkoły, rozpierać się mają beczynnie za parawanem gazety, zaś matka domu, wróciwszy również od zajęć, ponosić ma cały ciężar gospodarki?

Nie. W nowoczesnym kulturalnym społeczeństwie, męska połowa rodzaju ludzkiego świadczy ochotnie pomoc połowie „słabszej“. Mąż pali w piecu, syn starszy z matką podźwignie kosz do magła, młodszy powyciera talerze. Zrozumiały proces — komentowali przechodnie: kobieta pracą zarobkową przykłada się dziś do gospodarstwa. Sama *rozpraca*, ma prawo zapędzić do współudziału zdetronizowanych „panów“ stworzenia.

Tyle wyników całkiem nowych, dla wielu niespodziewanych, skupił jeden pokój eksponatów działu, związanego z pracą kobiecą, w r. 1930!

Faktem jest, że żyjemy całkiem innym życiem, toczymy je po zupełnie zmienionych koleinach, niż pokolenie poprzednie. Proces przemiany postąpił rącho. Tak rącho — że nie nadaża mu niejedna głowa.

Oto lat temu dziesięć młodzi chłopcy odgrążali się, razem ze swymi ojcami, że nigdy nie pozwolą, aby ich żony pracowały! Mężczyzna, który nie ma na utrzymanie domu, nie ma prawa się żenić, etc. etc. Dziś chłopcy ci dopadli z wielkim trudem, jakich takich mizernych stanowisk i... poženili się. I muszą pogodzić się z faktem, że żony ich pracują. Że zarabiają częstokroć dwa razy więcej, niż mąż. Że, gdyby nie te pracowite, wykształcone, przygotowane do pracy zawodowej, do walki życiowej, połowice — chłopcy nie mogliby zamarzyć o założeniu ogniska domowego, które *wspólnym* wysiłkiem jest. I jest takie przemile, bezcenne! A nikt, bynajmniej, nie zarzuca młodzieńcom, jakoby siedzieli na fartuszkach u żony.

Nie wini ich o niedołęstwo życiowe. Wcale. Rozumie-
my wszyscy niepospolity ciężar naszych czasów. I to
jest bardzo chwalebne, że ci młodzieńcy tak wcześnie
się poženili, nie czekając przyrostu dochodów. Oby-
czajne, piękne. Ujmujące są te młode pary rówieśni-
ków na dorobku, nie zaś, dawną modłą, owe stadła,
gdzie młodziutka istota paczyła się na sakramental-
nem utrzymaniu u dużo nieraz starszego mężczyzny,
z którym duchowo łączyło ją tak przeraźliwie, bo-
leśnie mało. Tragiczne są na tem tle dzieje naszych cio-
tek, matek.

Sławimy więc młode kobiety, inteligentne, czyn-
ne, zaradne. Tu drugi punkt przemian, ewolucyj
w przyspieszonym tempie. Kobiety owe są wykształ-
cone fachowo! Przeszły studia wyższe? — Nieko-
niecznie. Otóż tu, przygodnie, musimy zauważyć, iż
dla dobra Przyszłości należy wykonać niejaki... zwrot
wtył. Przegalopowano się w sprawie wyższych stu-
djów. Stanowczo. Owczy pęd, właściwy społeczeń-
stwu ludzkiemu. Moda... I zdrowy instynkt, który
sam się odzywa i nakazuje rezerwę. Choć raz, prze-
cie, myślny całkiem nowocześnie. Więc nie: dla „ko-
biety“ wyższe studia są niepotrzebne. Bo niekażda
jest Curie-Skłodowską. — Wlece się na nami ten
szczególny błąd rozumowania. Powiedzmy: za dużo
naszej młodzieży obojga płci rzuciło się do wyższych
studjów. — Nikt od Stanisława nie wymaga, żeby
był Curie-Skłodowskim czy Mendelejewym, aby dać
mu prawo do wyższych studjów. Niechże i od Stani-
sławy nikt aż takich uzdolnień, aż takich dzieł
w przyszłości — tytułem okupu społecznego za pra-
wo do studjów, nie wymaga! O tem prawie rozstrzy-
gać winno *rzetelne* zamilowanie kandydata, czy kan-
dydatki do danej gałęzi wiedzy, obok uzdolnień,
w każdym razie nieco przekraczających normę, zwa-
ną w języku szkolnym „dostateczną“.

Studia uniwersyteckie, same przez się bynaj-
mniej nie podnoszą kwalifikacyj zarobkowych absol-
wenta, czy absolwentki. O nią tu chodzi. Kobieta, zna-
jąca bardzo dobrze języki, stenografię, koresponden-
cję, zarobi nieraz znacznie więcej, niż doktorka filo-
zofji, czy nawet medycyny. A właśnie zdarza się, iż
połowicą współczesnego, mało zarobkującego małżon-
ka została niewiasta z wysokimi kwalifikacyjami
umysłowymi, które, wszelako, niewiele radzą, gdy trze-
ba — pieniędzy, pieniędzy.

Przy dobrem zdrowiu kobieta zamężna i dzie-
tna, która ukończyła uniwersytet, ma pełne kwalifi-
kacje nauczycielskie, odpowiednio zarobi na tej dro-
dze. Lecz nie dość zdrowia, kwalifikacyj. Trzeba —
i znów — zamilowania, istotnego powołania, aby być
dzielny, a tem samem zadowolonym ze swego war-
sztatu pracy pedagogiem!

W pewnej mierze — w najszcześniejszem poło-
żeniu są kobiety, zarobkujące dzięki talentowi, uję-
temu w karby pracy zawodowej. Mianowicie: malar-
ka, n. p., czy literatka najmniej tracąca kontakt
z domem. W jego obrębie przeważnie pracują, (w ar-

tykule następnym omówione będą niektóre mniej jas-
ne strony tego najszcześniejszego położenia).

Tu chodzi o to, że częstokroć mężowie tych pań
też dużo przebywają w domu, że biorą się, gdy nikt
nie prosi, do gospodarstwa. Przeszkadzają, zamiast
pomagać. Wnoszą chaos, działając wedle swego wi-
dzi-mi-się. Wówczas trzeba protestować. „Mój Kajtu-
siu! Jest pięć działów domowych: kuchnia, pranie,
naprawa bielizny, porządki domowe i fizyczne wy-
chowanie dzieci. Do garnków mi nie zaglądaj, na pra-
niu się nie znasz, igłą nie władasz. Przeciwnie, w dzia-
le porządków domowych możesz skutecznie upilnować
woźnego, czy należycie utrzymuje posadzki, okna,
klamki. Z działu wychowania fizycznego możesz, daj-
my na to, obcinać dzieciom paznogie i podstrzygać
czupryny. Ulżysz mi tem немало“.

Grzeczny Kajtuś musiałby w tym celu *ustalić*
dzień, w którymby podolał obcięciu paznogi u 12-stu
par kończyn i podgoleniu 6-ciu łbów. Kajtuś pracuje
w normalnem biurze, t. j. takim, gdzie ludzie nie za-
bijają się, mają dość czasu na picie herbatki, czyta-
nie gazetki oraz plotki z całej Polski.

Był ojciec, zaharowany u wyjątkowo ciężkiego
warsztatu pracy. A jednak co tygodnia znajdował
czas, aby właśnie mieć staranie o dzieci w wymienio-
nym sensie. Obrął sobie to zajęcie sam. Chciał mieć
na to czas. Cieszyło go to. Nożyczki, które ojciec
cierpliwie obcinał ongiś te pazury, przechowywane są
z pietyzmem.

Nim rozpowszechni się należyta świadomość
przesłanek życiowych, dzięki którym coraz silniej na-
rzuca się konieczność nowoczesnego podziału pracy
domowej (weźmy też w rachubę dzisiejszą drogą
a złą służbą domową!), stwierdza się fakt, coraz ogół-
niejszy, iż mężczyźni cośkolwiek nam pomagają.
Traktują to jednak niby łaskę wyjątkową w okolicz-
nościach wyjątkowych. Rzadziej osiągnęli pełne po-
czucie, że tak być powinno — w mierze, która ich nie
krzywdzi, nie upośledza ich pracy, ani spoczynku.
Częściej osiągnęli już niejaki rozumienie, że kobieta
nie jest zwierzęciem jucznem, na które spycha się bez-
litośnie cały ten „podrzędny“ trud. Próbowali długo
bronić swych praw do nieróbstwa: „Co? wasza pra-
ca domowa? — to zabawka!“ Zabawka? Jazda więc,
panowie! pobawcie się i wy! Prosimy do tennisa!

Przykład wymowniejszy. Na bruku znaleźli się
n. p., b. generał wojsk rosyjskich z żoną (publi-
cystką). Pani wzięła się za kuchnię, pranie, sprząta-
nie. Generał sam zajął się noszeniem węgla, wody,
śmieci. W sferach o kulturze tradycyjnej mąż, syn,
brat, biorą się samorzutnie za pracę, by ulżyć ko-
biecie. Przywykli do zjawiska, że kobieta jest istotą
o bogatym świecie wewnętrznym: czytała, nieraz, wię-
cej, niż oni, zna obce języki, sztuki piękne lepiej, niż
oni. Zaimponowała im niejednokrotnie w sprawach
ducha.

Gorzej, naogół, jest, gdy chodzi o impulsywny

odruch „rycerskości” ze strony mężczyzny o młodszej kulturze. Na niższych szczeblach kulturalnych drabiny społecznej kobieta jest częściej wybitną słabszością umysłową, istotą wegetatywną, w porównaniu z mężczyzną. Można ją kochać, szanować. Nie jest autorytetem.

W każdej jednak sferze matka pierwszorzędnie oddziaływać może na syna, gdy chodzi o wyrozumienie

potrzeby metodycznego sukursu siły męskiej u kieratu gospodarki. Mali chłopcy chętnie biorą się do pracy domowej. Poco ten zapal doszczętnie ostudzić? Zaskodziło kiedy komu godziwe wypełnienie czasu?

Na zakończenie więc stara prawda, warta bezprzestannej pamięci: „Jakich damy świata synów, takich nam świat odda mężów”. *Zofja Reutt-Witkowska.*

GŁOS SIOSTRZANY

Jeżeli mówi się z wielkimi nadziejami o możliwości wpływu kobiet na politykę w znaczeniu łagodzenia wybujałych nienawiści narodowych i rasowych, to na tej drodze prostowania ścieżek prawdy historyczno-społecznej jednym z najpiękniejszych i zarazem najdziwniejszych zjawisk dnia dzisiejszego jest książka Niemki o Polsce: „Vom Alten und Neuen Polen” Elgi Kern.

Nie jest to polityczne studjum. Autorka omija — i słusznie — problemy drażliwe, które mogłyby stać się kamieniem obrazy tych, czy innych przesądów i pretensyj politycznych jednej ze stron. Książka jej jest wyrazem głębszych, rzeczowych studjów nad Polską historyczną i współczesną, nad zagadnieniami jej kultury i rozwoju gospodarczego, a równocześnie jest hymnem entuzjazmu na cześć istotnych wartości ducha i społeczeństwa polskiego, odrodzonego we własnym państwie.

W pierwszym rozdziale swej książki opowiada autorka, jak to się stało, iż napisała książkę o Polsce. Jako mała dziewczynka, przebywała wiele w towarzystwie swego dziadka i jego przyjaciela, wybitnego poety i filozofa. Obaj starsi panowie toczyli ze sobą rozmowy o dawnych czasach i walkach wolnościowych w Niemczech — i wtedy dziecko po raz pierwszy usłyszało o bohaterskim wodzu, Mierosławskim, który przyszedł z Polski na pomoc niemieckim bojownikom o wolność i demokrację w roku 1848. Postać tego bohatera spłotła się z innymi opowiadaniem o wielkich i tragicznych dziejach Polski. Znajomość historii i geografii Polski, jej sytuacji po rozbiorach, świadomość jej słusznych praw do życia wryły się w młodzińczy umysł, żądny prawdy i sprawiedliwości.

Po wielu latach danem było Eldze Kern zetknąć się z Polską, tym razem żywą, cierpiącą, krwawiącą w ogniu straszliwej wojny. W latach 1915 — 17, już jako lekarka, dr. Elga Kern poznała nasz kraj. Powróciła tu następnie w chwili pierwszego zbiorowego triumfu odrodzenia państwowego: podczas Powszechnej Wystawy w Poznaniu. Nie poprzestała na obejrzeniu PWK.: sama wyznaje w swej książce, iż postanowiła sprawdzić osobiście, czy ten olśniewający obraz jest zgodny z codzienną rzeczywistością Polski.

Przez parę miesięcy pobytu w Polsce zwiedziła wszystkie ważniejsze miasta i ośrodki, przeprowadziła studia nad zagadnieniami gospodarczymi i społecznymi z całą możliwą sumiennością. Powracała parokrotnie do Polski, by stwierdzić w swej książce, iż „Obraz zbiorowy, ogrom rzeczy dokonanych” pozostał w jej umyśle nieprzycmiony.

Tak powstała przedziwna książka o Polsce, pełna uczucia, idealizmu, entuzjazmu. Subiektywizm,

podkreślony zresztą formą opowiadania, barwną i pełną osobistego wątku wspomnień, miarkowany jest głębszymi studjami. Autorka nie tylko nauczyła się języka polskiego, by móc dotrzeć do źródeł naszej kultury, nie tylko przeczytała (jak świadczy wykaz literatury) blisko setkę dzieł o Polsce, lecz z wielką dokładnością i dbałością o prawdę kontroluje swą wiedzę i swe wrażenia. Sądząc z tego, co skondensowało się na stu kilkudziesięciu stronicach jej książki, p. Kern mogłaby napisać niejedno jeszcze doskonale studjum o Polsce.

Sięgając do źródeł Polski współczesnej, autorka maluje sytuację Polski upadającej za Stanisława Augusta. Przypisuje jednak temu królowi tyle zasług na polu kulturalnym, iż w duchu stanisławowskich poczynań upatruje źródło przetrwania kultury narodowej aż po czasy odrodzenia Państwa.

W Polsce dzisiejszej widzi niemiecka autorka najwyższe napięcie woli twórczej narodu do urzeczywistnienia swej potęgi. Opisuje sytuację gospodarczą i finansową państwa, sławi dzieło gdyńskiego portu, specjalnie zaś wiele uwagi poświęca szkolnictwu. Podziwia pełną zaparcia się osobistego pracą nauczycielstwa, chwali metody nauki — zresztą na podstawie zwiedzania szkół i przysłuchiwania się lekcjom.

„Rzeczą zastanawiającą wydało mi się — pisze (str. 64) — zbyt silnie zaznaczająca się przewaga kobiet i ograniczona do minimum współpraca mężczyzny w szkołach żeńskich. Czas już byłoby uznać, iż tylko przez rozumne ustosunkowanie wspólnie określonego współdziałania mężczyzny i kobiety osiągnięte się najwyższy wynik twórczy na polu wychowania, bo szkoła powinna być tylko stopniem wstępnym do życia”.

Ciekawa ta uwaga znajduje się niejako na marginesie — autorka z uznaniem mówi o szkołach zawodowych dla dziewcząt, jako o środku przygotowania ich do życia praktycznego i zarobkowego. Podkreśla również fakt, iż matki interesują się gorąco szkołą i wywierają duży wpływ na rozwój wychowania szkolnego. „Matki pilnują swych praw do dzieci”.

Natomiast krytycznie odnosi się Elga Kern, znana z działalności pacyfistycznej, do przysposobienia wojskowego młodzieży. „Widziałam na ulicach Warszawy młode dziewczęta z karabinami na ramieniu, pod wodzą oficera, maszerujące w szeregach po dwie, powracające z ćwiczeń w strzelaniu”. Zjawisko to tłumaczy sobie wprowadzie niezmierną wrażliwością Polaków na utrzymanie niepodległości i koniecznością obrony w istniejących stosunkach politycznych Europy — niemniej ów militarny nastrój, nawet kobiet, razi jej poczucie pacyfizmu.

System opieki społecznej wydaje się autorce „Polski dawnej i nowej” dobry i postępowy; ubolewa tylko nad „marnowaniem sił ludzkich, w szczególności macierzyńskich”, wskutek ogromnej śmiertelności niemowląt w Polsce i zacofanej polityki ludnościowej.

Ale to są tylko cienie na tym obrazie, jaki w swych wędrówkach po Polsce urobiła sobie Elga Kern. Jeśli widzi na przykład straszną nędzę robotniczą dla robotnic, zgubne dla zdrowia warunki pracy kobiet w fabrykach tytoniowych i przędzalniach — to nie omieszka przytem powiedzieć o staraniach inspekcji pracy o polepszenie tych warunków, o miejsca siedzące dla robotnic, o higieniczne urządzenia, o żłobki dla dzieci. W sposób, godny doskonałego feljetonu artystycznego, opisuje autorka miasta polskie, Warszawę, Łódź, Wilno, Kraków, pełna zachwytu dla zażytków sztuki i oryginalności kultury polskiej.

A już jedną pieśnią pochwalną jest charakterystyka polskiej sztuki ludowej. Najwyższy ton należy tu zresztą do kobiety. „Polki w czasach niewoli — pisze p. Kern — śpiewały swym dzieciom pieśni ludowe, kołysanki tajemne. Śpiewały dzieciom o minionej wielkości, o cierpieniach i niedoli ojczyzny, o ra-

dości i miłości. Wlewały świadomość krzywdy i wierność polskiego bytowania, wciąż i bezustannie, do małych serduszek”.

Wieś polska, w krasie swych strojów, tradycji, kilimów, zdobnictwa ludowego — robi niezwykle wrażenie na przyjaciółce Polski. Nie może oczu oderwać od piękności, w których słusznie widzi przejaw najbardziej istotny geniuszu narodowego. Opisuje też swe spotkanie z wiejską kobietą i odwiedziną u niej w chacie, którą prosta kobieta uczyniła prawdziwym przybytkiem sztuki. Chwila rozstania po dłuższej pogawędce z wieśniaczką i jej dziećmi: polka wręcza cudzoziemce kilimek swojej roboty, pozdrawiając ją słowem: „Siostró”.

Czy w tym epizodzie nie należy doszukać się głębszej myśli? Czyż autorka nie chciała wskazać, iż między kobietami, na tle zainteresowań osobistych, kulturalnych, artystycznych, mogłoby powstać porozumienie siostrzane ponad granicami morderezej polityki?

Myślę, że tak. Wielkie dzieło, które nie jest polityką, ale może być przemianą polityki, czeka na wykonawczynię.

Jadwiga Kramczyńska.

NIEMA POWROTU

(*Nomela*)

2)

Pociąg załomotał po zwrotnicach.

Serce pani Neci zabiło w gardle, a lodowaty dreszcz spłynął po niej i uwięził nogi. Oparła się ręką o siatkę. Drżąc, usiłowała pomieścić w palcach rzemyk parasola, torebki i sznurek pudełka z ciastkami.

Migają dobrze znane budynki stacyjne. Za dwie minuty, za minutę... Pociąg zatrzymał się z sykiem. Nie, nie wyjrzy za nic... Jak najpóźniej! Potem! Gdy numerowy zabierze pakunki. Jeszcze za chwilę! Tam pewno Jurek czeka...

Ołowiane nogi nie chcą się ruszać, serce opętane rozbija piersi. Krok za krokiem, ze spuszczonego oczyma, wychodzi z wagonu, idzie za śpieszącym się tragarzem. Trzeba spojrzeć. Musi poszukać Jurka. Głos ledwo mieści się w krtani, chciałby krzyknąć, łkać. Co za radość — już!

— Bilety! — upomina się kontroler.

Prawda! Gorączkowo szuka w torebce, oddaje bilet, biegnie, rozgląda się, przeszukuje peron, sale, restauracje. Nie, zapewne czekają przed dworcem! Ktoś potrąca ją niesionymi skrzyniami, ktoś inny boleśnie nadeptuje na nogę. To nic, tam Jurek czeka.

Niema go!

Może spóźnili się, może już dochodzą — przecie pogoda taka piękna!

Niema.

— Gdzie pani każe włożyć rzeczy? — pyta niecierpliwie tragarz: — do auta, czy na dorożkę?

— Do auta — odpowiada machinalnie, wilżąc dziwnie zasychające usta.

II.

Kołysana i podrzucana szybkim pędem samochodu, pani Aniela powoli otrząsnęła się z martwoty, w którą wpadła, nie zastawszy Jureczka na dworcu.

Znajome ulice i domy otrzeźwiły ją zupełnie. Fala krwi napłynęła do serca, a z nią radość, że odsunęta na pewien przeciąg czasu chwila zbliża się z każdym obrotem kół auta.

Nie trzeba wymagać za dużo; widać przyjąć nie mogli... Nagle przypłatała się myśl, że może dziecko chore? Wprawdzie Zygmunt nic o tem nie pisał, ale o zaziębienie tak łatwo; jeszcze u Jureczka, który nigdy nie był Herkulesem.

Gdy auto stanęło przed domem, niepokój i oczekiwanie wzrosło do zenitu. Płaciła, patrząc w dobrze znajome okna, i wbiegła pędem na schody, nie troszcząc się o zostawione w bramie pakunki. Widać spostrzeżono jej przyjazd, gdyż drzwi były uchylone i Zośka wyglądała przez szparę. Na widok pani Neci, roześmiała się z uciechy, błyskając zębami, i przybiegała witać, obcałowując jej rękę.

— Oj, nasza pani, nasza pani!... — radowała się.

Uśmiechając się blado, pani Necia zmierzała ku drzwiom skroś jej witania i okrzyki.

Tam, na progu gabinetu, stał Jurek. Przyciskając zębami rozdręganą dolną wargę, pani Necia upadła przed nim na kolana. Wyciągnęła ręce. Spragnione ramiona otuliły ciasno Jureczka, przycisnęły porywczosć do serca. Z gardła wydobył się jeden jedyń, cichy, ni to szloch, ni to westchnienie. Przyłożyła go sobie do piersi mocno, mocno, jakby ta pierś miała się rozdrzeć i zawrzeć w sobie szczupłutkie dziecięce ciało. Mimo nieprzytomności pierwszego szczęścia, czuła policzkiem gładziutenką twarz synka, jego prędkie, ciepły oddech, i pragnęła — jak bardzo! — aby zarzucił jej rączki na szyję...

Jurek stał sztywno, jak zwykle onieśmielone dzieci; nawet trochę podał się wtył. Szerokimi miodremi oczami patrzył w podłogę; pozwalał tulić się, choć uściski matki przeszkadzały mu w oddychaniu. Czuł, jak przy nim bije młot stęsknionego, upojonego szczęściem serca, jak wreszcie suche usta zaczynają żarliwie całować jego bezwładnie zwieszane rączki.

Pani Necia, jak spragniony wędrowiec, dopadła Jurka. Jednocześnie wszystkimi władzami chciała

się nim napoić: patrzyła aż do obłędu na szczupłą jego twarzyczkę, nieprzytomnemi rękami błędziła po niej, dotykała nabożnie jego usteczek, dołeczka z lewej strony, okrągłej bródki...

— Juruś... Juruś... — szeptały modlitewnie jej usta.

Odnalazła w nim to wszystko, co zawierało jej serce. Wreszcie roześmiała się urywanym, szczęśliwym śmiechem. Podniosła się z klęczek, porwała go na ręce.

— Juruś! Syneczku!...

Dopiero teraz zrozumiała, że Jurek nie powiedział ani słówka, że stał sztywno pod ulewą jej pocałunków.

— Juruś!... Nie cieszysz się, że Muśka przyjechała? — zapytała porywczo.

Pokiwał główką, biorąc w rękę szalik, który owijał jej szyję. Więc się cieszy? O, Boże!...

Nowe pocałunki, nowa radość... To nic, że Jurek porządnie waży; trzeba obieć z nim stół dookoła, zakręcić go w kółko.

Jaki on duży! Jak urosł!

— Gdzie twoja miara, Jureczku? Tu była, na drzwiach od gabinetu... Chodź, zobaczę, jak urosłeś. Jurek kręci główką przecząco.

— Niema miary! — mówi: — Tatuś kazał pomalować drzwi na czysto; zamalowali już dawno.

Jak on cudnie mówi! Zupełnie, jak dorosły pan. Chodź, skarbie, przytul się znów do mnie... Ani chwilki nie możemy tracić, ani chwilki być od siebie zdaleka.

— Kochasz mnie?

— Kocham.

Jurek mówi poważnie i sumiennie. Ani lez w oczach, ani szalonych uścisków, ani pieszczot... Ale kocha! Mówi, że kocha.

— Chodźmy teraz do twojego pokoju. Rozpakujemy rzeczy. Mamusia przywiozła coś przesłicznego, zobaczysz! — obiecuje pani Necia, tuląc do siebie synka.

— Tak? — ożywia się Jurek: — A co?

— Zobaczysz!...

Najmilsza radość dawania, egoistyczne szczęście budzenia dziecięcych zachwytów, rozkosz podziękowań z tych maleńkich, nieuważnych ust!...

Niecierpliwy Jurek pochyla się nad walizką; pani Necia daje, daje, daje.

— Już mam bilardzik! — mówi zakłopotany Jurek: — dostałem od Tatusia.

— Tak? Szkoda! Zresztą, może można zamienić! A tutaj masz budownictwo, z którego możesz układać maszyny... Ładne?...

— Tak! Tylko, że ja nie lubię maszyn! — mówi szczerze Jurek.

Ze zmieszaniem uśmiechem pani Aniela się usprawiedliwia.

— Myślałam... Wszyscy chłopcy lubią maszyny!

W milczeniu wydobyła wózek i konia, ustawia go troskliwie na podłodze.

— A to? — pyta nieśmiało.

Jurek przykucnął obok zabawki i wozi ją tam i z powrotem.

— To śliczne! — decyduje.

Twarcz matki rozjaśnia się natychmiast i ożywia.

— Przywiozłam ci jeszcze duży magnes, ale jeżeli nie lubisz maszyn?... — pyta.

— To nic. Magnes przecie nie maszyna, przyda mi się. Pokaż! — zaborcze łapki chwytają przedmiot. Już Jurek zapomniał o świecie. Z pudełka wydobywa gwoździe, z szuflady — nożyczki, i na wszystkim sprawdza działanie magnesu.

Uszczęśliwiona, że mu dogodziła, pani Necia ustawia na stole pudełka słodczy. Wydobywa i rozwinia ubranka. Krząta się po pokoju z drgającą, uszczęśliwioną twarzą.

Książki ustawia w szafce, dobierając je według wielkości i barwnych grzbietów. Jeszcze poduszki.

Pani Aniela rozgląda się niepewnie po pokoju.

— A tapczan, Jureczku? — zapytuje: — Co się stało z tapczanem?...

— Tatuś kazał wynieść do pokoju panny Michasi, bo nie miała na czym spać — odpowiada od niechcenia Jurek.

Fala gniewu uderzyła pani Neci do głowy. Jaki? Jurkowy tapczan? Kupiony za jej własne, zapracowane pieniądze? No, nie! Ten tapczan, Jureczka tapczan — dla bony?!

— Gdzie tatuś? — spytała sucho Jurka.

Ale Jurek przymierza swój magnes do wszystkich metalowych przedmiotów i stara się rozwiązać pytanie, czy można nim pociągnąć stalowy przycisk z biurka.

Pani Aniela zgarnęła niedbałym ruchem poduszki ze stołu na ziemię. Siedząc na krześle z pochyloną głową, myślała, że ta drobna napozór zmiana dotknęła ją głębiej, niż mogła to przypuszczać. Pewno dlatego, że tapczan był kupiony przez nią dla Jurka. Zygmunt uważał za stosowne usunąć go czempredzej. Uraza, załagodzona chwilowo niespodziewanem pozwoleniem przyjazdu, rozrosła się znów bujnie w jej sercu.

— A to co? — zapytał nagle Jurek, biorąc paczki ze słodczymi. Poznał już przymioty nowego magnesu i znudziła mu się ta zabawa.

Na dźwięk jego głosu twarz pani Neci rozpromieniła się, jak pod wpływem czaru. Wyciąga ręce do syneczka, a głos jej ma słodczy nieopisaną, gdy mówi do niego:

— Chodź, Juruś, na kolana... Zobaczymy, co tam jest!

Jurek zbliża się do stołu. Opiera rączkę na kolanach matki. Modre, wielkie oczyska śledzą z zainteresowaniem proces rozwijania cukierków i ciastek. Mimowoli gardło przełyka ślinę, usta rozchyła łakomy uśmiech. Pani Necia powoli rozplątuje sznurki, patrząc na twarz chłopca, i aż dusi ją radość, że oto taki jest duży, a śliczny, a zdrowy — na podziw.

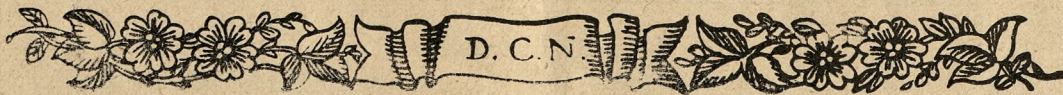
— Twoje ciastka! — mówi triumfalnie, rozchylając bibułki na pudełku.

Resztki chłodu między synem, a matką — topnieją. Śmiejącami się oczyma Jurek pochłania przysmak. Poufale otacza ramieniem szyję Muśki.

— Wezmę sobie to... albo nie! lepiej to, a później tamto! — planuje.

Korzystając z tego dobrego nastroju, pani Necia ostrożnie sadza sobie Jurka na kolanach. Jaknajpiękniej ustawia przy nim pudełka. A kiedy mały łakomeczuch je, przejęty, — delikatnie przywiera twarzą do jego kudłatej główki i westchnienie prawie zwierzęcego szczęścia wydziera się z głębi jej piersi.

Kazimiera Mazurkówna.



H. JANUSZEWSKA.

M Ł Y N

(Opowiadanie powstańca z 1863 r.)

„Przez las, przez zdarte paprocie! Pod czarny, szeroki młyn! —
Pusto. Gospodarz w miasteczku. Był tylko on — najmłodszy syn.

Stał płomy i stargany między żerdzią z garnkiem a wrzaskliwym, skaczącym pieskiem.
Patrzył z pod konopiastych włosów w słońce. Oczy miał niebieskie.

Koło w wodzie błękitnej stało. Rzeka świeciła. Cisza.
Wpadliśmy dzicy, zdyszani partyzanci. — Nikt nie słyszał.

Pytaliśmy o chleb i wodę. Pojął. Szedł z stągwiemi.
Mówił, że byli tu drudzy. Stargani. We krwi. Tacy sami...

Na strychu — pachnąca słoma. Puste, zmlócone kłosy.
Płome, jak jasny promień — jak jego włosy.

Otwierał usta, słuchając. Wzrok mu rozgorzał dziko.
Wszystko wiedział: — gdzie przelaz tajemny i gdzie wykop.

Mówiliśmy słowa największe. Powietrze stało od grozy.
Woda była, jak stal błyszcząca. Lśniły zamarłe łozy.

Patrzyliśmy w ptaki ciągnące — serce ciążyło, jak glaz —
Patrzyliśmy, jak z grani śmiertelnej... może ostatni raz...

Był najbliższy i własny. Jak brat. Jak serce swoje.
Chcieliśmy iść. Otworzył dom — odważny i hardy. — „Ja się nie boję“ —.

Tonął nam w szaleńczych spojrzeniach. Tuliliśmy go, jak ptaka —
Mówiliśmy: — „Polska“ — Wzniósł oczy piękne, niebieskie. — Plakał.“



Msza polowa powstańców 63 r.

(Album generała Frederyksa — ze zbiorów Muzeum Wojska w Warszawie).



Palac księżnej N. (w Mińszczyźnie) zamieniony na szpital dla rannych powstańców 65 r.
(Ze współczesnego sztychu. — Zbiory Muzeum Wojska).

ZE WSPOMNIEŃ BABUNI O POWSTANIU STYCZNIOWEM

Nad gromadką powstańców, składającą się z kwiatu młodzieży obywatelskiej, przeważnie z powiatu lidzkiego ziemii wileńskiej, w roku 1863 objął naczelne dowództwo Narbutt. Wódz odważny, dzielny, pełen zapału do obrony wolności Ojczyzny, nieustraszony wobec śmierci, z wiarą w zwycięstwo świętej sprawy prowadził w bój swój oddział, składający się z niestrudzonych bohaterów, bojowników wolności. Było coś wspaniałego w tym pochodzie młodzieży z sercem przepelnionem miłością dla Ojczyzny, młodzieży, która, nie zważając na trudy i grożące niebezpieczeństwo, postępowała wciąż naprzód po drodze, usłanej trupami towarzyszy. Walczyli, pragnąc jedynie zwyciężyć lub umrzeć.

I gdy ta garstka ludzi wielkiego serca zmagala się z potężnym i strasznym wrogiem, to kryjąc się w lasach litewskich, to wypadając z nich i siejąc spustoszenie w wojsku nieprzyjacielskim — znalazł się zdrajca wśród swoich. Był nim Bazyli, strzelec puszczy grodzieńskiej. Oddział rosyjski pod dowództwem pułkownika Timofiejewa w ciągu tygodnia nieustannie ścigał Narbutta, który, nie mając odpowiednich sił do stoczenia regularnej bitwy, umiejętnie i zręcznie prowadził partyzancką walkę w okolicy „Dubicz”, a przeważnie wsi „Kowalki”, doprowadzając do zmęczenia siły nieprzyjacielskie. Wskutek tego dowódca Timofiejew musiał cofnąć się ku Lidzie, a gdy rosjanie byli w odległości 7 wiorst od miejsca walki, Narbutt, zmęczony i wyczerpany do najwyższego stopnia, zatrzymał partję powstańców i, czując się bezpiecz-

nym, usiadł nad brzegiem jeziora w celu odpoczynku.

Młody adjutant jego Adolf Kraiński powiedział:

— Naczelniku! pójdźmy dalej, mam złe prze-
czucie.

— Nie mogę. — odrzekł — zmęczony jestem, nie mam sił.

Kraiński powtórzył swą prośbę, lecz Narbutt, upadając ze zmęczenia, nie mógł się ruszyć z miejsca. Wtem spostrzeżono dwóch ludzi, płynących od drugiego brzegu jeziora.

— Dajmy ognia, Naczelniku! — zawołał Kraiński.

— To są nasi strzelcy — odpowiedział Narbutt.

W tej samej chwili rozległy się strzały i kilka kul ugodziło w pierś Narbutta. Zdrajca Bazyli wskazał miejsce pobytu Narbutta i jego towarzyszy. On to właśnie płynął z pułkownikiem Timofiejewym. Czterej powstańcy: Józef Popiempinowicz, Adolf Kraiński, Aleksander Brzozowski i Stefan Hubarewicz chwycili ciężko rannego ukochanego wodza, by go w bezpieczniejsze przenieść miejsce, lecz, ugodzeni kulami, padli z drogim ciężarem. Czterej inni miejsca ich zajęli: Franciszek Brzozowski, Włodzimierz Popławski, Władysław Żukowski i jeszcze jeden z młodych uczestników powstania, którego nazwiska nie ustalono.

Konający Narbutt powiedział do nich:

— Zostawcie mnie, ja umieram, ratujcie się ucieczką.

Nie zdążyli odpowiedzieć wodzowi — i ich kule

położyły na miejscu. Narbutta podnieśli czterej inni, lecz i ci niebawem zginęli śmiercią bohaterów, młujących Ojczyznę i wodza swego.

Okolo godziny trwała bitwa. Strzelanie slychać bylo na przestrzeni 5 mil wokoło. Przerażenie i złe przecucie ogarnęło wszystkich, lecz wierzyć nie chciano, aby Narbutta zginął. Nikt nie miał odwagi udać się na miejsce boju.

Gdy ani uprosić, ani przekupić nikogo nie było można, młode dziewczę, bawiące wówczas w „Szawrach“, majątku p. Teodora Narbutta, ojca poległego dowódcy, powzięło myśl przeprowadzenia wywiadu. Niczem nie zdradzając swego zamiaru, dzielna dziewczyna osiodłała konia i udała się do „Dubicz“. Po przybyciu na miejsce postoj u oddziału wojska rosyjskiego powiedziała do żołnierzy, stojących na warcie, że chce i musi widzieć się z ich dowódcą. Wkrótce przepuszczono ją do pułkownika. Idąc ku niemu, spostrzegła z przerażeniem stos ciał, zalanych potokami krwi, a opodal trupa pod strażą 4-ch uzbrojonych żołnierzy.

Poznała drogą postać wodza; ledwie trzymając się na nogach, stanęła przed sprawcą tego okropnego mordu i, wskazując w kierunku łoża śmierci, wyrzekła:

— Pułkowniku, przybywam z prośbą wydania pozwolenia na prawo pochowania tych ciał według naszego katolickiego obrządku.

— Nazwisko pani?

— Antonina Tabeńska.

— Czy pani ma brata między poległymi? — zapytał Timofiejew.

— Wszyscy są moimi braćmi, bo jestem Polką.

Błagam o pozwolenie oddania ostatniej posługi poległym.

Pułkownik wydał rozkaz, aby życzeniu dziewczęcia stało się zadość. Dopadła do miasteczka i na wszystkie strony porozsyłała gońców, zawiadamiając rodziny poległych i wzywając do pomocy w opatrzeniu rannych i pochowaniu zabitych.

Bolesna, pewna już wiadomość o śmierci Narbutta i jego towarzyszy niedoli dotarła do okolicznych obywateli i duchowieństwa. Nazajutrz ranniutki przybyła rodzina poległych, kilka

pań i wieśniaczek z okolicy. Szlochanie i jęki przerywały grobową ciszę. Opisać niepodobna wstrząsających scen. Młode dziewczę bohatersko znosiło własny ból serca, kojąc cierpienia innych. Stała się twardym żołnierzem na posterunku, aby oddać ostatnią posługę obrońcom wolności Ojczyzny.

Widok zimnych, martwych ciał zaszczeplił w sercach wszystkich obecnych jad nienawiści do ciemności i potęgował męstwo i ofiarność. Obraz śmierci bohaterów stwierdził, że Polska ma prawo do życia, że żyć będzie.

W kościele ustawiono piramidę trumien tak, że 13-ta Narbutta, czarnym aksamitem obita, zamykała stos ciał u góry. Trzeciego dnia odbył się pogrzeb, w którym uczestniczyło około 200 osób i 14 księży. Po nabożeństwie wszystkie trumny umieszczono w jednej bratniej mogile, jedną obok drugiej. Potoki łez spłynęły na ten ogromny, usypany rękami kopiec, przy którym złożono cichą przysięgę: iść śladem poległych, gdy Ojczyzna powoła.

Taki był koniec Narbutta i jego najbliższych przyjaciół. Resztę powstańców uprowadzono do Wilna, gdzie niektórych powieszono, innych zaś zesłano na Sybir. W liczbie tych ostatnich była i Antonina Tabeńska, której wkrótce udowodniono, że dostarczała broń do oddziału Narbutta. Przed odczytaniem wyroku, skazującego na katorgę, sędzia, chcąc wydobyc od dziewczęcia przyznanie się do winy i wydanie towarzyszy, odczytał wyrok, skazujący ją na śmierć. Zdumienie ogarnęło sędziów, gdy usłyszeli:

— A więc rozstrzelajcie mnie — jestem Polką i śmierci się nie boję.

Ubrana w długi, szeroki chałat areztancki, z uśmiechem upomniała się o kapturek, twierdząc, że i on jej się należy. Szła mężnie na Sybir z narzeczonym, młodym lekarzem Edwardem Łazowskim. W kaplicy więziennej na Syberji wzięli ślub. Ona prała worki, a mąż jej, przykutym do taczki, pracował na kopalni złota.

Po 20 latach dopiero na podstawie manifestu oboje powrócili do kraju. W kilkanaście lat potem powiększyli grono zmarłych uczestników powstania. *Marja Wróblewska.*



Grupa żelanek do Niżniego-Lomowa w gub. penzeńskiej.
(Album generała Frederyksa — ze zbiorów Muzeum Wojska w Warszawie).
Nazwiska poszczególnych osób: 1. Illakowicz. 2. Cypińska. 3. Zawadzka. 4 i 5. Córki Zawadzkiej. 6. Przybora. 7. Nowicka. 8. Wądołowska. 9. Szulc. 10. Tyszkiewicz. 11. Sylowska. 12. hr. Ożarowska.



*Langiewicz i Pustowójtówna.
Fotografja z obrazu nieznanego malarza. — (Zbiory Muzeum Wojska).*

ROK 63 I MALARSTWO POLSKIE

Zjawa mężczyzny, mdlejącą ręką osłaniającego śmiertelną ranę — kobieta w trwodze kołysząca dziecko. Albo trup powstańczy, rozciągnięty na śniegu. Nie masz prawie człowieka w Polsce, dla którego w błyskawicznym skrócie tak właśnie nie ucieleśnia się pojęcie: rok 63.

Grottger zrosł się nierozdzielnie z tym najtragiczniejszym, bo już w swem poczęciu związanym z ideą ofiary i męki, a nie zwycięstwa i siły, momentem dziejów porzecznych. Danem mu było symbolizować epokę, stać się niejako bardem, snującym swoją opowieść w żalosnych cyklach o patetycznych akcentach i rozdzierających finałach. „Warszawa”, „Polonia”, „Lithuania” — oto wymowne świadectwa malarskie strasznych dni.

Wymowne — właśnie, może zbyt wymowne. Może właśnie bardziej wymowne, aniżeli malarskie. Zrodzone w najbardziej płomiennem ukochaniu, były i są drogą pa-

miątką. Potęgą swej tematycznej ekspresji będą długo jeszcze wzruszać i wzburzać. Potem — zadziwiać. Ale wkońcu, gdy zawarte w nich fakty nadto już oddalą się i zbledną — i same obrazy staną się odległe i blade. Albowiem rodzaj użytych w nich środków czysto malarskich nie odpowiada sile ideowych założeń. W zasadzie przecież dzieła Grottgera, tak nawskroś polskie w swej fabule, tendencji i nadewszystko w wyrazie, są w swej technice, kompozycji, kolorystyce, zwłaszcza zaś w swym specy-

ficznym gatunku alegoryj, w charakterystycznej literackości metafor — typowo niemieckie, ściślej — wiedeńskie. Wpływy szkoły Nazareńczyków, wpływy uczniów Corneliusa zaznaczyły się tu niezwykle silnie.

Fakt ten sam przez się, oczywiście, nie miałby znaczenia negatywnego, gdyby nie związana z tym właśnie kierunkiem pewna manieryczność sentymentalna, pewien amalarski patos papierowy, obcy nie-



Jacek Malczewski: „Niedziela w kopalni”.



Maksymilian Gierymski: „Powstaniec”.

tylko naszemu dzisiejszemu odczuwaniu, lecz również właśnie podjętemu tematowi. Gdy nieszczęście przechodzi nad domem, nie szlocha się i nie krzyczy, tylko właśnie milczy. Ekonomja środków, surowy obiektywny realizm mocniej często uderzają w serce, aniżeli cały arsenał romantycznych dekoracyj. A przedewszystkiem rzecz musi być wyrażona środkami właściwymi, adekwatnymi niejako dla danego gatunku artystycznego. Wieki przemijają, rany zasklepiają się, najbardziej wstrząsające zdarzenia stają się dla potomnych nieistotne i obojętne. Ale wymowa wartkiej linii, potężnej formy, prześwieczonej plamy barwnej — pozostaje, wiąże ludzi poprzez epoki i przestrzenie.

Z podejmowaną od szeregu już lat i z wielu stron naraz „rewizją Grottgera” (którego wielkie serce nie było wszakże winne temu, że żył tak bardzo krótko — że o całej jego twórczości możemy sądzić tylko z okresu, w którym najbardziej był podatny obcym wpływom — że chciał więcej powiedzieć, aniżeli

mógł) — powinnyby się połączyć sprawę przewartościowania innego artysty, dla którego rok 63 również staje się dość częstym motywem tematycznym. O Maksymilianie Gierymskim twierdzono wielokrotnie, że zachowuje się obojętnie wobec tematu; z tajonym wyrzutem stwierdzano, że rany i krew, aresztowania, rewizje, nieszczęścia „nie go nie obchodzą”; że z obiektywizmem i rzeczowością wciąga je tylko w swój świetny malarski rejestr. Zaiste, Gierymski nie daje żadnych komentarzy uczuciowych, ani alegorycznych, do tych pochodów śmiertelnie znużonych ludzi na wychudłych koniach, przez szarą mgłę, i błoto, i deszcz dokądś tam wlokących się ostatkiem sił. A jeśli w jakim jego obrazie nieszczęście spada na cichy dwór wiejski w pogodną księżycową noc — tak samo błyskają drżące smugi wśród drzew, tak samo subtelnie prowadzi się grę światła i cieni, z doskonałym znawstwem podkreśla się i rozkłada walory kolorystyczne... Wśród tego rewizja, uprowadzenie do więzienia, może na śmierć — to tylko elementy konstrukcji. Ale właśnie tem mocniejsze, że tak pozornie obojętne, tem głośniejsze, że ciche i głuche wobec świetlistych plam — tem wspanialsze świadectwo dające faktom, że tak wysoko stoją w hierarchji malarskiej — i tylko malarskiej.

Głębokiem echem odbił się krwawy rok, rok krzyżów i szubienic, w twórczości Jacka Malczewskiego. Zwłaszcza w pierwszych etapach jego działalności artystycznej. Malczewski czasowo zresztą bliżej związany jest raczej z epilogiem ponurej tragedji, z Sybirem, który, jak większość malarzy tej epoki, ogląda poprzez wizję Słowackiego. Rozdzierająca w swym bezlitosnym realizmie „Śmierć wygnanki” jest tylko odpowiednikiem anhellowskiej „Śmierci Ellenai”. Lecz jakkolwiek brutalniejsza, jest właśnie w swej bezpośredniej rzeczowości, w gwałtownym, ostrym skrócie — silniejsza, bardziej wstrząsająca, aniżeli nazbyt już poetycką pewną manierą trącącą słynna Ellenai.

Pelen głębokiej ekspresji, prześliczny w kolorycie obraz „Wigilja zesłańców”, młodzieńcze „Zesłanie studentów” i bardzo piękna, ciekawie skomponowana „Niedziela w kopalni” — to główne momenty tej fazy twórczości wielkiego artysty, którego uczucia patryjotyczne oraz mistycyzm wspiera drapieżny instynkt rasowego malarza.

Matejkowska „Polonia” — mało stosunkowo znana, wyobrażająca niewiastę, ofiarującą pełną krwi czarę Chrystusowi, — Stanisława Wyspiańskiego „Polska po r. 1860” — to znów alegorie, posilkujące się arsenałem środków, z a-malarskiej dziedziny zaczerpniętych, jakkolwiek działające silnie na widza.

Epizody z przebiegu partyzantki oraz z manifestacyj, poprzedzających sam wybuch powstania, malowali i malarze pomniejszego kali-



Artur Grottger: „Żaloba” (z cyklu „Polonia”).

bru, jak Chlebowski, Kotsis. „Wspomnieniem z lat dzieciennych” przesuwają się jeszcze krwawa masy ludu na Krakowskim Przedmieściu w obrazie Wojciecha Kossaka. A teraz już odeszły od nas zdarzenia styczniowe, stały się wspomnieniem, po które oddawna nie sięga żaden artysta...

Kto wie, czy, gdy przeminie jeszcze parę dziesiątków, a może i setek lat — inne, nieznane i już dzisiaj w pyłe archiwów wałęsające się świadectwa nie przemówią silniej do dalekich naszych następców, aniżeli tamte świetne i cenione obrazy naszych czołowych twórców.

Oto drobny, przez bezimiennego dyletanta, może współwalczącego, wykonany rysunek: prosty wóz z trumną, za nim dwie, trzy osoby w żałobie, nieśmiało i skromnie skulone — na lewo soldackie mundury. Nocny pośpieszny pogrzeb ofiary... Nieudolne, bezpretensjonalne, a potężniejsze od krzyku.

Oto groteskowy niemal w swej sztywności, tak twardy i dziwaczny w rysunku postaci i kompozycji, że wydaje się nam już niemal celowo przestylizowany — obrazek, znów bezimienność: „Strzelanie do ludu 8 kwietnia 1861 r.”.

Z lewej pod prostym kątem zbiegające się linie karabinów — z prawej odpowiadające im ramiona kwadratu, który tworzą uciekający w płochu, albo też w miejscu stojący i umierający ludzie. Nierozumny lud...

Proste, możliwie wierne przedstawienie rzeczywistości, która się dzieła. Poprzez dziwną, jakby archaiczną formę powie ten ubożuchny rysunek naszym prawnukom starą prawdę: o krzywdzących i o ofiarach, o ciemnych i o bezbronnych.

I. J.



Grupa żuawów śmierci.

(Z albumu Frederyksa — Zbiory Muzeum Wojska).

MIEDZY SKRZYDLATĄ MYŚLĄ A PRYZIEMNYM CZYNEM

(od specjalnej korespondentki)

Na trawiasto-zielonych tablicach czerwonym kolorem jasno i wyraźnie wypisane daty: 1830 — 1920 — 1930 — są to afisze polskiej wystawy w Paryżu, urządzonej w gmachu „Jeu de Paume”, leżącym w ogrodzie Tuileries, na granicy Placu Zgody; tu odbywają się międzynarodowe pokazy, którym Francja używa gościnności.

Rządowi naszemu projekt tej wystawy podał Antoni Potocki; pomyślał ją, jako ucieleśnienie wielkiej idei: Polska w czasie upadku politycznego nie tylko stanęła na najszczytniejszej wyżynie poświęcenia i poezji, ale rozproszona emigracja niosła innym narodom pomoc w walce o niepodległość, żywotność swą objawiała też pokojową działalnością, zdobywając wdzięczność ziem, na które los ją rzucił. W roku 1920 odegrała Polska tradycyjną rolę — przedmurza cywilizacji, dziś zaś rokuje piękne nadzieje na przyszłość.

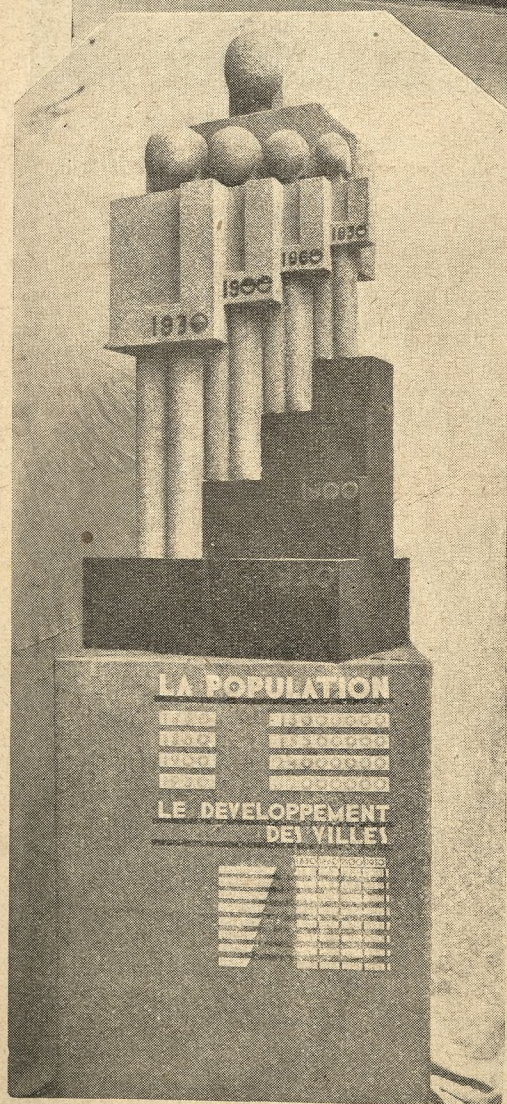
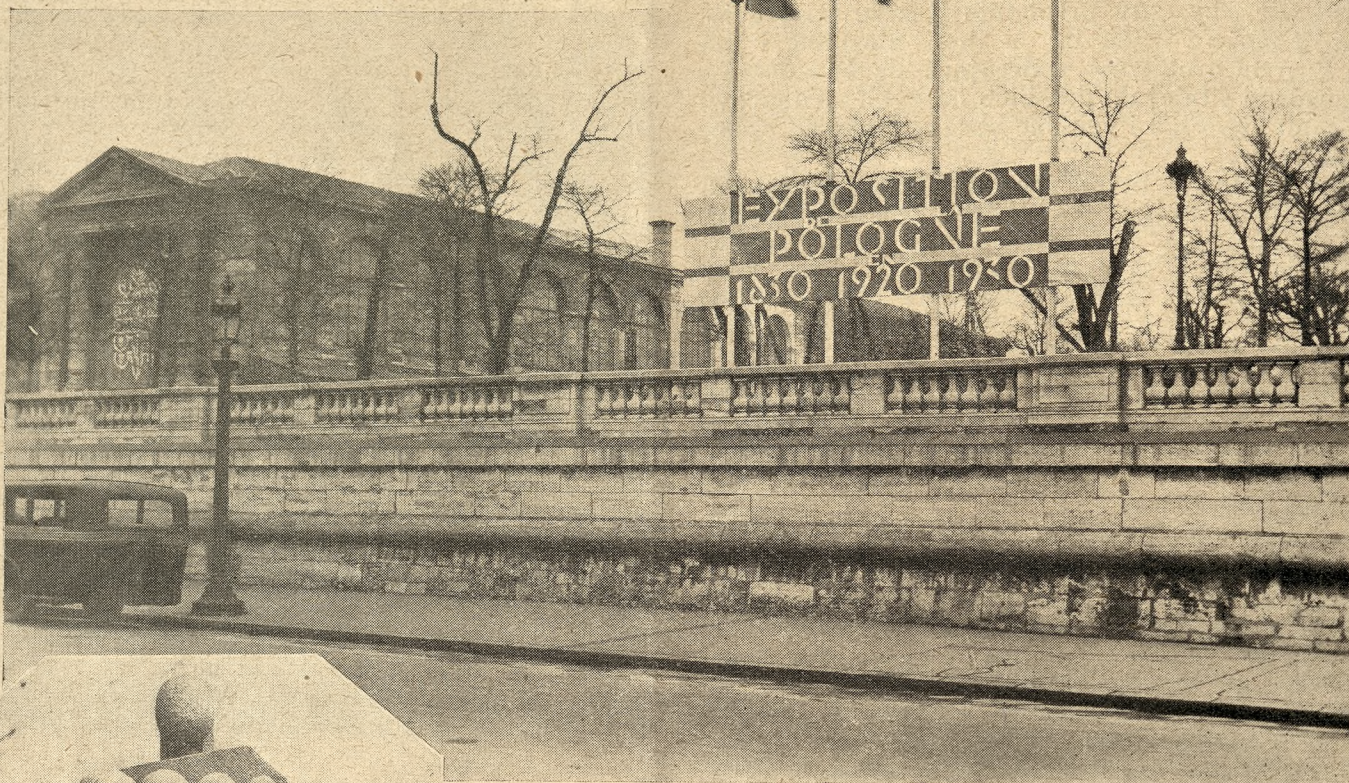
Miedzy zamierzeniem wystawy, a jej wykonaniem leżała przepaść, wypełniona trudnościami natury technicznej, złą wolą ludzi, różnicą celów propagandy i historii, sporem względów estetycznych z wymogami idei, dyplomacją polskiej śmiałości w stosun-

ku do francuskiego konserwatyzmu... I tem, co w najlepszym ze światów dotąd nie da się usunąć: przedziałem między skrzydlatą myślą a realnym czynem. To też wystawa posiada pewne braki, pomimo rzetelnego wysiłku twórcy i wykonawców (Antoniego Potockiego, M. Tretera, W. Jastrzębowskiego i Z. Klingslanda, generalnego sekretarza).

Jeśli chodzi o ideową stronę wystawy, za wiele w niej wojny, a za mało pokoju. Walczyliśmy, to prawda, na wszystkich barykadach Europy, ale zapomniano prawie, iż „jaskółki wolności”, spokojnej oddane pracy, budowniczymi były cudzego życia. Mapa, tablica statystyczna, systemem „Kurman i Kopczyński” wykonana, jeszcze jedna figura synoptyczna winna była pokazać, gdzie Polacy kreślili linie kolejowe, na jakich wykładali uniwersytetach, gdzie wsławił się, jako lekarze, prawodawcy, artyści...

Pokazy sięgają wieków, nieobjętych datami wystawy, bo rozpoczynają się erekcyjnym aktem Akademii Krakowskiej; potem idą sale pamiątek z czasów Kościuszki, Legjonów, księcia Józefa, wojen napoleońskich, aby przejść do 1830 roku. Nieszczęśliwą kam-

panję świetnie uzmysławia doskonała mapa, legendarną stronę opowiadają liczne sztychy, z których wiele ogromnie ciekawych, np. niemieckie, bo napisy ich świadczą o wielkim współczuciu dla Polaków.



Okres od powstania listopadowego do powstania styczniowego wypełniają walki za cudzą wolność — z myślą służenia wolności kraju. Dział ten bardzo bogato reprezentowany, jeśli chodzi o Węgry, które na wezwanie organizatorów odpowiedziały wspól-



U góry: wejście na Wystawę polską w Tuilerjach w Paryżu. U dołu na lewo jeden z wykresów, na prawo wnętrze jednej z sal.

pracą, nadsyłając ciekawe materiały ze swych zbiorów państwowych i prywatnych.

Pomoc Węgier, niesiona nam w 31 roku, odwet wdzięczności naszej w 48 roku i znów szlachetny rewanż w 63 roku; z jednej strony wojskowa działalność generała Bema, z drugiej — chlubne wystąpienie Smolki w sejmie austriackim; ta karta dziejów wspólnych obu narodów wydaje się nie pozostawiać nic do życzenia.

Natomiast stosunek nasz do Turcji, do Włoch nie jest należycie uwidoczniiony, brak też uwypuklenia działalności wybitnych jednostek, które w owym okresie polskiem swem imieniem skupiały uwagę świata.

Jako przykład zapomnienia, biorę Mierosławskiego. Świetna i wspaniała mowa w czasie procesu w Moabie nie tylko lży z oczu Niemek wycisnęła, nie tylko na czoło powstania wielkopolskiego wyniosła młodego porucznika, ale choć powstanie było nieudane, ten skutek miała, iż najpierw badeńska rewolucja, a potem Neapol, w walce o niepodległość na wodza go powołały.

Stosunki Polski z Francją przewijają się przez dzieje ostatniego stulecia; na wystawie stronę ich wojenną ilustrują obrazy i sztychy; szukałam „Warszawianki” Delavigne’a, poetycznych słów zachęty do wytrwania. Nie dość jest podkreślony ścisły węzeł kulturalnej przyjaźni obu narodów, a jeśli chodzi o ostatnie lata, nasze braterstwo broni z francuzami mało zostało uwzględnione, pominięto zaś zupełnie wysiłek Bajończyków i utworzenie się na gruncie tutejszym armji Hallera.

Dziennikarze jednak paryscy, grzeczni w słowach dla swego sprzymierzeńca, bardzo się wystawą zachwycają.

Rok 63 przemawia do widza kartonami „Polonii”, apoteozą martyrologji polskiej i apoteozą walki o wolność; słusznie obok niej pokazano „Wojnę” Grotgera — protest przeciw tyranji oręża, objaw wielkiej i odważnej na owe czasy humanitarności artysty.

Lata światowej wojny, dla Polski trwające dłużej, aniżeli dla całego świata, bo od 1914 do 1920 roku, skupiają się około osoby Marszałka, przechodząc z dolnych sal do górnych, gdzie mieści się już tylko dzień dzisiejszy. Spotykamy głowę jego, wykutą w siwym granicie — Strażnik Państwa Polskiego.

Pierwsze piętro — za godło mające słowa Prezydenta Mościckiego, iż potęgę Polski wykuwa trud całego narodu — daje częściowy przynajmniej obraz obecnego stanu państwa, jego rozrostu i rozwoju.

Wystawa, sięgająca w przeszłość, winna mieć formy współczesne, nowem słowem powinny do dzisiejszego człowieka przemawiać dawne myśli. Nie brać go, po staroświecku, ugrzecznionym ruchem pod ramię, wolnym, spacerowym krokiem prowadząc po romantycznych wertepach, wieść rozwlekłe rozmowy, co chwila w krainie pamiątek zatrzymując się nad smętkiem rzeczy ubiegłych, — ale wskazać mu pod bezpieczną strażą przejście pewne, jak gwoździami znaczone droga wielkiego miasta, aby iść mógł krokiem szybkim i do celu prosto wiodącym, ułatwić oku chwytanie obrazów, myśli — ich przyswojenie.

Jeśli chodzi o nowoczesną formę wystawologji, to w zachowawczej stolicy świata pokaz nasz uczynił pewien wylom. Zaznaczyć należy pomysły nowe i ciekawe, jako też umiejętne zastosowanie ostatnich w tym względzie ulepszeń. Tablice statystyczne zastąpiono plastycznymi schematami, o kształtach estetycznych, odpowiadających obecnym wymaganiom: stosunkiem swych barw i brył przemawiają one najsu-

teczejszą metodą poglądową. Cel ten spełniają też liczne mapy prof. Jastrzębowskiego; w rozrzuceniu wychodźstwa naszego po całym świecie doskonale orjentować się pomaga pomysłowa i artystycznie wykonana kompozycja plastyczna Kurmana.

Skoro już w założeniu swem wystawa nie miała zamiaru dawać dzieł sztuki ostatniej doby — poza temi, które potrzebne jej były dla udokumentowania historii, pokazania naszego folkloru, czy pejzażu — szkoda wielka, że w jakiś inny sposób nie uwydatniła naszej ekspansji literackiej i artystycznej, choćby przypomnieniem odbytych w ostatnich czasach zagranicą wystaw propagandowych.

Książka polska jest w pewnej mierze reprezentowana na wystawie, bądź przez francuskie prace naszych autorów, wydane w Paryżu, mające na celu propagandę (jak np. dzieło A. Potockiego o Adamie Mickiewiczu, Z. Klingslanda o J. Piłsudskim), bądź też rzeczy ściśle artystyczne, piękne wydania krajowe i tutejsze, przeważnie odnoszące się do różnych dziedzin sztuk plastycznych.

Ciekawe zestawienie uczynić można — zresztą bynajmniej nie na niekorzyść polskich drukarzy — przeglądając prace graficzne J. B. Tłomakowskiego, które ukazały się w Paryżu w Ex-libris (Daragona) i w Silva Rerum, z tekstem H. Zdzitowieckiej-Jasieńskiej.

Podnieść trzeba, jako dobrą inowację, napisy. Wielkimi literami na ścianach uwidocznione motta sal. Rok 31 jest pod hasłem „za naszą i waszą wolność”; w sali Grottgerowskiej „Wojny” cytat z Mickiewicza, który mówił, iż w pokoju widzi przyszłe swoje szczęście, a Bóg nie byłby dlań Bogiem, gdyby nie był pokojem.

Jedno dobrze zastosowane zdanie wprowadza odwiedzających w atmosferę, w jakiej przebywać winni, i dać może więcej pojęcia o nastroju chwili, aniżeli ukryte w gablotkach dokumenty i medale.

Tembardziej, iż nie wszystkie eksponaty posiadają napisy, a objaśnienia ustne, chętnie przez komitet udzielane, zastąpić ich nie mogą; katalog pięknie wydany też nie jest wystarczający, gdyż jest to katalog rozumowany, dający ogólne pojęcie o wystawie i jej duchu, ale nie zawierający spisu wszystkich zgromadzonych tu przedmiotów.

Wystawa zewnętrznie czyni dobre wrażenie — poważna, spokojna; jeśliby chodziło o jej udoskonalenie, w myśl mojej leniwej zasady, iż dzisiejszy pracownik życia męczyć się nie lubi, nie nie chce wiedzieć, a wszystko musi widzieć, pragnęłabym zamiast kilku fotografii Gdyni — makietę portu, zamiast kilku — na płótnie — wewnątrz naszej chaty — tę chatę w pomniejszeniu; pragnęłabym, jak na wystawie w Barcelonie, przez rzeźbiarzy skomponowane, syntetyczne scenki z przeszłości, czy teraźniejszości: żeby tańczyły figury z obrazów Stryjeńskiej, kręciło się polskie kino, w powietrzu odzywały się głosy naszych płyt.

Żeby nie opowiadało się o dalekim kraju, ale żeby powietrze nieznanego kraju ogarniało licznych cudzoziemców, których do francuskiego gmachu ciągną rozpięte na witrażu, zdala widoczne insygnia Rzeczypospolitej Polskiej, na wietrze rozwiane sztandary, narodowe nasze sztandary.

W gmachu zaś tym witają ich, przy Prezydencie i Marszałku stróżujące, w kwadrat zamknięte, pięknie dekoracyjnie pojęte, białe orły.

Aura Wyleżyńska.

Paryż — Styczeń.

DO JAKIEGO PÓJŚĆ KINA W STOLICY

ŚWIATOWID — kino dźwiękowe, Marszałkowska 111. — „Monte Carlo” — reżyserja Ernest Lubicz. W roli głównej Jeannette Mc. Donald i Jack Buchanan.

STYLOWY — Marszałkowska 112. Film śpiewno-dźwiękowy „Podróż poślubna” z Billie Dove.

POLA NEGRI PALACE — Plac Teatralny. „Tryumf miłości” — w rolach głównych: Charles Rogers, Nancy Carrol. Nadprogram: Dodatek Fleishera.

UCIECHA — kino dźwiękowe — Złota 72. Film dźwiękowo-śpiewny „Impresarjo” z Buster Keatonem w roli głównej.

SPLENDID — Senatorska 29. „Za oceanem” z czarującym Maurice Chevalier.

PAN — Nowy Świat 40. „Małżeństwo we troje”.

CAPITOL — Marszałkowska 125. „Niebezpieczna jazda” z Lucjaną Albertini w roli głównej.

HOLLYWOOD — teatrzyk dla dzieci, Hoża 29. W niedzielę o godz. 12 m. 15 pop. „Pan Twardowski na księżycu”.

HOLLYWOOD — kino-teatr, Hoża 29. „Syn bogów” z Ryszardem Barthelmess i rewja karnawałowa „Bawmy się”.

KOMETA — Chłodna 49. „Dlaczego milczę” w roli głównej Bella Bennett. Na scenie występy artystów.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

PO REWOLUCJI — ŚLUB.

Następca tronu hiszpańskiego zaręczył się z 18 letnią księżniczką Esperanzą. Król Alfons długo odkładał pozwolenie



Książę Alfons.



Księżniczka Esperanza.

na to małżeństwo, gdyż narzeczonych łączą węzły bliskiego pokrewieństwa, ostatecznie jednak miłość młodej pary zwyciężyła wszystkie przeszkody.

PRACA KOBIET W SEJMIE.

Działalność na terenie Sejmu składa się, jak wiadomo, nie tylko z obrad na plenum, ale przede wszystkim z przygotowywujących te obrady prac komisji sejmowych, obejmujących cały zakres działania parlamentu. Każdy ważniejszy wniosek musi zostać opracowany w komisji, zarówno przed wniesieniem na plenum, jak przed drugim i trzecim czytaniem; poza tem dochodzą sprawy nagłe i najróżnorodniejsze. Opracowanie tych spraw jest rzeczą niezmiernie ważną i wywiera bezwzględnie duży wpływ na bieg ich i decyzje na plenum. To też nie ulega wątpliwości, że posłanki powinny brać jak najwydatniejszy udział w komisjach i że ważne jest, do jakich weszły.

W rozpoczynającym obecnie obrady nowym Sejmie i Senacie postulat ten został spełniony: kobiety pracują w komisjach. Bardzo znamienity jest fakt, w jakich wzięły udział.

Najwięcej pociąga je, jak widać z zestawienia poszczególnych działów, praca społeczna. W komisji opieki społecznej mamy cztery posłanki, w komisji ochrony pracy dwie, w oświatowej trzy, w inwalidzkiej tyleż, w emigracyjnej dwie.

Wszystkie te komisje zaliczyć można właściwie do działu prac społecznych. Przyczem kobieta (p. Jaroszewiczowa) została przewodniczącą komisji oświatowej. Naturalnie, że posłanki biorą udział każda w dwóch, niekiedy więcej, komisjach. Sprawy administracyjne są mniej obciążone, tak samo gospodarczo-społeczne, skarbowo-budżetowe i wojskowe. W każdej z nich mamy po jednej posłance, jak również w komisjach: skarbowo-budżetowej, zagranicznej, konstytucyjnej i prawniczej.

Ten „rozkład zajęć” ilustruje dokładnie stanowisko i samolubstwo kobiet. Poza tem istnieje wzgląd przygotowania fa-

chowego, również decydujący o wyborze rodzaju pracy. Do brania udziału w komisjach prawniczej i konstytucyjnej trzeba mieć to przygotowanie. Bardzo jest ważne w naszym życiu parlamentarnem i społecznem to, że posłanki przywiązują tyle wagi do normowania biegu spraw społecznych. Niemniej jednak byłoby bardzo pożądane, żeby kobiety starały się o uzyskanie jak największego wpływu i na inne działy pracy, jak administracja, skarbowość i sprawy zagraniczne. Tu jest właśnie sfera wpływów do zdobycia. Wpływ na sprawy społeczne kobiety już osiągnęły, chodzi teraz o zdobycie tamtych działów pracy i do tego należy dążyć.

KONGRES OPIEKI NAD DZIEĆMI.

Międzynarodowe Tow. Opieki nad dzieckiem zwołało do Liège IX Kongres. Program tego zjazdu obejmował sprawy ochrony dziecka, higieny (specjalny dział poświęcono ważnemu zagadnieniu gruźlicy u dzieci), badanie inteligencji, wychowanie przedszkolne, warunki wychowania dzieci rodziców rozwiedzionych. Delegatem z Polski był dr. Wrocławski.

WODNA PANI.

Najwybitniejszą pływaczką jest obecnie młoda irlandka, Miss Mercedes Gleitze. Od trzech lat, co rok zdobywa ona nowe rekordy, nie było dotychczas w Europie cieśniny, którejby nie przepłynęła, w r. 1927 La Manche, 28 Gibraltaru, potem Bosfor. Kiedy naprzykrzyło się tej prawdziwej kobiecie-rybie przebywać określone przestrzenie, zabrała się do rekordów wytrzymałości w przebywaniu w wodzie. „Wypłynęła” też poza Europę, ostatni swój rekord wzięła Miss Gleitze w Nowej Zelandji. Około portu Wellingtona przebyła w wodzie 42 godziny.

KOBIETA W WIELKIM PROCESIE POLITYCZNYM.

Stawieni przed sądem w Madrycie trzej członkowie Komitetu rewolucyjnego, Alcala Zamora, Miguel Maura i Alvaro Albores, zażądali, jako obrońcy, kobiety. Zadania tego podjęła się tu adwokatka, praktykująca w stolicy, senora Victoria Kent.

CHŁOPCY DO GOSPODARSTWA!

Narody anglosaskie zabrały się nie na żarty do sprawy uczenia chłopców gospodarstwa domowego i wszelkich zajęć, które dotychczas przeznaczano tylko dla dziewcząt. W całej północnej Anglii w szkołach powszechnych chłopcy obowiązani są razem z dziewczętami odbywać naukę gotowania, prania, sprzątania i szycia. W Ameryce posunięto sprawę jeszcze dalej. Nauka gospodarstwa domowego obowiązuje dziś chłopców w szkołach powszechnych w czterdziestu dwóch Stanach, a przeszło 7 tysięcy uczniów szkół średnich chodzi na specjalne kursy tego rodzaju. Młodzi amerykańcy traktują tę naukę z całą powagą, chłopiec uważałby sobie za ubliżenie nie umieć przyszyć guzika, lub uprać chustki do nosa.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Skarga mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku złożona Lidze Narodów, została opublikowana w dziennikach genewskich. Memorjał ten, obejmujący 100 stronice druku, zarzuca władzom i ludności polskiej gwałty, przesładowania Niemców i niedopuszczanie ich do wyborów. Głównymi „oskarżonymi” są: Związek Obrony Kresów Zachodnich, Związek Śląskich Powstańców, władze sądowe, szkolne i policyjne. Memorjał żąda: ukarania sprawców, zapobieżenia na przyszłość podobnym faktom i stwierdzenia, że nastąpiło ze strony Polski naruszenie artykułów 25 i 83 Konwencji Genewskiej.

Dziwne są w tej sprawie dwa fakty: po pierwsze, pomimo licznych cytowanych krzywd i przekroczeń, zaledwie kilku poszkodowanych zwróciło się do polskich sądów, choć mieli do tego pełne prawo, więcej: choć elementarna lojalność obywatelska nakazywała to zrobić, a do Ligi Narodów zwrócić się dopiero w razie nieuzyskania od Sądu należytej satysfakcji. Fakt drugi jest ogólniejszego znaczenia; oto o Pomorzu, gdzie Niemcy nie uzyskali ani jednego mandatu, mówi się bardzo mało, o Śląsku zaś, gdzie Niemcy stracili parę mandatów, robi się hałas w Genewie! Co to znaczy? Poprostu to, że w sprawie narodowości Pomorza nie wiele poradzą najzawziętsze walki, z Kaszubów nie uda się już zrobić Niemców. Co do Śląska zaś istnieją jeszcze, widocznie, złudzenia w „sferach miarodajnych”!

Stanowisko Anglii w Genewie nie ulega, zdaje się, żadnej wątpliwości, będzie ono solidarne z Francją. W ostatnich czasach dużo mówiono o ochłodzeniu stosunków francusko-angielskich, teraz jednak niema już o tem mowy. Wobec kryzysu amerykańskiego i swego własnego, monstualnego bezrobocia, Anglia bardzo chętnie przyjęła pomoc Francji w formie znacznych pożyczek, udzielonych przemysłowcom angielskim i obniżenia dyskonta Banku Francuskiego, które wstrzymało odpływ złota z Anglii. Nie bez racji też nazywają obecne zacieśnienie przyjaźni francusko-angielskiej „złotem porozumieniem”. Cóż robić, fortuna kołem się toczy, niegdyś Anglia była bankierem, jeśli nie świata, to w każdym razie Europy, dziś jest nim Francja. Stanowisko to narodu, tak zniszczonego przez wojnę, świadczy o jego niesłychanej żywotności, pracowitości i doskonałej organizacji pracy a także oszczędności. Ta ostatnia cnota jest kardynalna u każdego Francuza: nie skąpstwo, lecz rozumna i celowa oszczędność.

W sprawie oszczędności rozpoczyna się u nas celowa akcja. Na ostatnim posiedzeniu Komitetu Ekonomicznego Ministrów powzięto uchwałę obniżenia cen artykułów pierwszej potrzeby. Realizację obejmuje Ministerstwo Przemysłu i Handlu. Rząd zdecydowany jest prowadzić akcję z całą energią, uwzględniając szczególnie ceny, płacone przez konsumentów drobnym i średnim kupcom. Z chwilą obniżenia cen, nastąpić musi podniesienie spożycia i bezwzględne ożywienie wytwórczości krajowej, co wpłynie dodatnio na przeżywanie obecnie kryzysu gospodarczego.

NOWE OGNISKO DLA KOBIET

Wszyscy rozumiemy, jak niesłychanie ważne w życiu każdego człowieka jest mieszkanie i wszyscy wiemy, jak po wojnie ta pierwszorzędna kwestja rozpaczliwie się przedstawia dla wielu, może nawet dla większości ludzi, zwłaszcza niezamożnych.

Nie my jedni w Europie zresztą walczymy z klęską mieszkaniową, trzeba jednak stwierdzić, że nie kładziemy w jej zwalczanie maksimum wysiłków. Gdyby tak było, można byłoby osiągnąć wybitniejsze rezultaty.

To też każdą inicjatywę, każdą próbę stworzenia kulturalnych pomieszczeń, za przystępną cenę, przyjąć trzeba z uznaniem, każdą przedyskutować i podać do wiadomości publicznej.

Jedną z takich instytucyj jest fundacja tanich mieszkań im. Hipolita i Ludwiki małż. Wawelbergów.

Zarządzającą fundacją p. Wacław Wawelberg z żoną otworzyli obecnie w drugim osiedlu Ognisko, którego celem jest dostarczenie kobietom pracującym,

samotnym, kulturalnego mieszkania, oraz zastąpienie im choć w pewnej mierze własnej siedziby.

Całe czwarte piętro olbrzymiego domu, przy ul. Ludwiki (którego niższe piętra zajmują mieszkania dla rodzin) tworzy siedzibę Ogniska, złożonego z czterdziestu większych i mniejszych pokoi. Ceny są bardzo przystępne. Oddzielny pokój 65 zł. miesięcznie, z opałem, światłem i urządzeniem; jeżeli dwie osoby zajmują pokój, każda płaci 42 zł., jeśli trzy, każda 26 zł., cztery — 22 zł. Trzy i czteroosobowych pokoi, specjalnie dużych, jest zresztą tylko parę, większość stanowią dwuosobowe.

Urządzenie pokoi skromne, ale estetyczne i wsocle. Szafa, stół, krzeselka białe, lub jesionowe z niebieskim, lila, zielonym; łóżka białe lakierowane, jasne ściany, duże okna, wygodne lampy wiszące i stołowe. Dopelnienie stanowią ładne, białe łazienki ze wszystkimi wygodami i udogodnieniami: przyrządy do grzania żelazek do ondulacji włosów, do prasowania żelazkiem elektrycznym; specjalne miednice-wanienki do przepierania drobniaków, jak pończochy i chusteczki; oddzielne miednice, wentylatory do oczyszczania powietrza z pary i t. p.

Na posiłki przeznaczono osobną salę, w stylu zakopiańskim; dla odpoczynku czytelnię, w której znajdujemy dzienniki i czasopisma.

Trzeba przyznać, że zarząd zrobił bardzo dużo; dla iluż kobiet samotnych, nieraz gnieźdzących się kątem, w najcięższych warunkach, lub zmuszonych, za drogie pieniądze znosić ciężką dolę sublokatorską, mieszkanie takie jest naprawdę dobrodziejstwem.

Należałoby tylko uprzystępnąć i złagodzić troszkę niektóre punkty regulaminu. Myślą przewodnią zarządu jest, jak to wyrażone zostało w przedmowie do regulaminu: nie tylko dostarczenie warstwom pracującym kulturalnych, tanich mieszkań, ale i zbliżenie w nich ludzi różnych klas społecznych, wzbudzenie wzajemnego zaufania i szacunku. Widoczne jest z tego, że ognisko nie zostało stworzone specjalnie np. dla pracownice umysłowych, ale że obok nauczycielki lub urzędniczki znaleźć się może krawcowa, ekspedjentka, lub robotnica. Bardzo dobrze, tak właśnie w nowym, demokratycznym społeczeństwie być powinno.

Jednakże to nastawienie tłumaczy poniekąd nacisk, położony w regulaminie na niektóre punkty: nie wszystkie jeszcze warstwy społeczne mają u nas równą kulturę, wielu trzeba jej bardzo pracownice i drobniaków uczyć. Stąd pochodzi np. zastrzeżenie, że nie można bez uprzedniego, każdorazowego zezwolenia zarządzającej wstawić do pokoju własnego mebla, pod żadnym zaś pozorem nie można trzymać w nim koszu i walizek; myć się można tylko w łazience. Chodzi tu przede wszystkim o czystość i estetykę w pokoju — wyjaśnia pokazująca mi ognisko, niezwykle uprzejma i miła kierowniczka, pani Baumanowa. Zrozumie to od razu każda z pań kulturalnych, nie zawsze jednak rozumieją wszystkie. (O zgrozo! przypomniałam sobie, że niestety, od osoby bardzo kulturalnej, słyszałam narzekanie na taki zakaz; nie przyznaję się już do tego pani zarządzającej!). Te punkty regulaminu można przyjąć bez zastrzeżeń: mając miednicę w łazience, doprawdy nie można wstawiać drugiej, własnej w swoim pokoju, poci?

Trochę gorzej jest z posiłkami: jeść można tylko w sali stołowej, to nic; ale nie można trzymać w pokoju żadnych zapasów, ani ich gdzieś przyrządzić, sprawa więc zjedzenia na kolację np. jakiejś sałatki, choćby z pomidorów, czy ogórków, jest wy-



Pokój na dwie osoby.

kluczona. Szkoda, że nie pomyślano o urządzeniu (np. w korytarzach), specjalnych chłodnych szafek, przeznaczonych na przechowanie zapasów. Można by jednak może i dziś temu zaradzić, wstawiając małe, estetyczne szafki, choćby w tym rodzaju, jak stojące na korytarzu krzeselka, które mają wewnątrz specjalne składziki. Zresztą nastąpić ma z czasem reforma, w Ognisku bowiem mają być wydawane obiady i kolacje gotowane; dziś już można dostać rano i wieczorem herbatę i kawę.

Najważniejszym, moim zdaniem, punktem spornym regulaminu jest zastrzeżenie, że odwiedzających można wprowadzić tylko do jadalni ogólnej, nie wolno przyjmować żadnych wizyt w pokojach, nawet tym osobom, które zajmują mieszkanie same. Jest to zasada wielu home'ów amerykańskich i francuskich, ale tam są inne warunki i obyczaje. Ogólna obszerność mieszkań sprawia, że przyjęcie kogoś w pokoju, gdzie się sypia, wydaje się tam czymś prosto nieprzyzwoitem, to samo jednak rozprzestrzenienie dopomaga do tego, że w każdym ognisku jest obszerny, odpowiednio urządzony, duży salon, a często parę pokoi, gdzie można spędzić czas na rozmowie z odwiedzającymi, przyjąć ich, ugościć bez żadnego skrępowania. W omawianym ognisku tego miejsca niema, gdyż ani sala stołowa, ani czytelnia nie odpowiadają tym warunkom. Trzeba przyznać, że jest to duże skrępowanie, często więcej nawet natury moralnej, niż rzeczowej, to zmienić należałoby koniecznie. Poza temi jednak drobnymi usterkami, fakt powstania Ogniska podnieść należy z całym uznaniem.

Natalja Jastrzębska.

SPRÓBUJMY JEŹDZIĆ NA NARTACH

Jak to się stało, że sport narciarski stał się tak modny? Czy był to nakaz między-narodowego snobizmu, którego wyznawcy zjeżdżają się w St. Moritz i Davos, aby uprawiać sporty zimowe? Czy też nakaz autorytetów krojów damskich, żeby przedobiednie godziny spędzać w dobrze dopasowanym stroju narciarskim?

Nie! Sport narciarski stał się dziś u nas ruchem żywiołowym, który ogarnia coraz szersze warstwy. Nałóg narciarski powstaje szybciej od jakiegokolwiek innego nałogu, a jest zupełnie nieuleczalny. Kto raz przypasze deski do nóg, może jeszcze nie połknąć tego bakcyła, ale kto włoży narty poraz drugi, ten napewno padnie ofiarą nałogu. Bo przyczyną „zaraźliwości” narciarstwa jest nie snobizm, ani próżność, ale radość życia, jaką dają narty.

Dla kogo nadaje się narciarstwo? — dla każdego. To właśnie jest jedną z największych zalet tego sportu. Wiele innych sportów, np. tenis, lekka atletyka — wymagają wiele sił fizycznych i ciągłego treningu, jeżeli wyniki mają dać zadowolenie. Osoba, która mogłaby znaleźć tylko kilkanaście dni w roku na tenisa, grałaby tak marnie, że nie doznawałaby żadnej przyjemności. Tymczasem cały szereg osób najwyżej kilka lub kilkanaście dni w roku może jeździć na nartach, a przecież sprawia to im ogromną radość. Jeśli kto jest dobrze zaprawiony, dokonywa rzeczy trudnych, stromych zjazdów, długich biegów i t. d. — jeżeli kto natomiast jest „patałachem”, to wchodzi na niekie góry, wybiera łatwe szlaki, ale przyjemność subiektywną ma napewno taką samą.

I dlatego właśnie warto zabrać się do jazdy na nartach.

Niestety, utarł się u nas przesąd, że uczyć się na nartach można tylko gdzieś w górach. Błędne mniemanie. Genezą nart w ich ojczyźnie są nie góry, a śniegi i konieczność przebywania w zimie wielkich przestrzeni. To też u nas na nizinach, gdy tylko śnieg



Wyruszamy w drogę.

opisuje, można w każdej wsi i w okolicach każdego miasta uprawiać sport narciarski. Biegi t. zw. płaskie dają tyle różnych możliwości i tyle zadowolenia, że nie należy niemi pogardzać.

Narciarstwo jest wszechstronnym ćwiczeniem cielesnym — pracują przy nim wszystkie mięśnie ramion i nóg, mięśnie tułowia mają też wydatną pracę, a serce i płuca otrzymują doskonały trening.

Jednakże wpływ fizyczny sportu narciarskiego nie da się porównać z wpływem narciarstwa na psychikę. Pod tym względem narciarstwo daje chyba więcej, niż jakiegokolwiek inne sporty. Ktoś wyraził się żartem, że każdego megalomana posłałby na kurs narciarski. W żarcie tym mieści się głęboka prawda — upadki narciarskie, od których nikt się nie uchroni, są świetnym lekarstwem na próżność i zarozumiałość ludzi, którzy w innych dziedzinach życia łatwo osiągną powodzenie. Osiągnąć dobre wyniki można tu tylko wytrwałością charakteru, tylko wtedy, jeżeli nie zniechęcimy się niepowodzeniami, jakie muszą towarzyszyć nauce narciarstwa. To też narty są naprawdę szkołą charakteru i każdy narciarz czuje dobrze tę szkołę na sobie.

Ta twarda szkoła daje jednak pozatem niewysłowione radosne przeżycia. Możliwość szybkiego pokonywania przestrzeni, możliwość szybowania wdół w zawrotnym pędzie, przebywanie wśród cudownego zimowego krajobrazu — to wszystko jest źródłem radości życia i pogody duszy.

To też każdy, dotknięty nieuleczalnym nałogiem narciarstwa, marzy całe lato o tym dniu, kiedy będzie mógł przypasać swe szybkonóżne deski i wędrować przed siebie. A gdy w chwilach depresji i zniechęcenia spogląda na stojące w pokoju narty, przypomina sobie, że jest coś, dla czego bezwątpienia żyć warto. Że słowa powyższe nie są frazesem, potwierdzi każda narciarka, a przekona się każda przyszła adeptka tego kunsztu.

Uczyć się narciarstwa najlepiej na kursach. Kluby i okręgi narciarskie urządzają takie kursy w każdym większym ośrodku. Najlepiej jest zapisać się do jakiegoś klubu sportowego, gdyż osoby zrzeszone przez swoje kluby w związkach narciarskich korzy-



Chwila odpoczynku.



Czyszczenie nart.

stają z szeregu udogodnień, jak zniżki kolejowe, ulgowe opłaty w schroniskach, bezpłatna nauka jazdy, ewent. ulgi przy zakupie sprzętu i t. d.

Jeżeli jednak uczymy się narciarstwa zupełnie samodzielnie, to musimy korzystać z podręczników, a wtedy możemy doskonale opanować jazdę narciarską. Najlepszym podręcznikiem, z pośród polskiej literatury, jest „Jazda na nartach” — opracowana przez Majora Władysława Ziętkiewicza, wwd. przez Gł. Księg. Wojskową (cena 5 zł.). *W. Prażmowska.*

KOBIETA DOBRZE UBRANA

Kobieta „dobrze ubrana” często, a zaiste niesłusznie, uważana jest za pustą lalkę, która nie myśli o niczym innym, jak o gałgankach. W przeświadczeniu osób, niewtajemniczonych w zawilą sztukę dobrego ubrania, uchodzi zwykle za osobę doskonale uposażoną, powolną kaprysom mody i kaprysom własnym, za osobę, której środki materialne pozwalają na luksus tego właśnie „dobrego ubrania”.

Tymczasem rzeczywistość wykazuje co innego. Gdybyśmy przeprowadziły wywiad z jedną z tych, które wzbudzają zachwyt i podziw, tych „zawsze i wszędzie stojących na wysokości nienagannego wyglądu”, gdyby pozwolone nam było przejrzeć ich osobiste rachunki, wczuć się w budżet toaletowy — ogarnęłoby nas szczere zdziwienie, szczególnie w zestawieniu z budżetem osób, uskarżających się wiecznie na niedobory i braki garderobiane.

Dobre ubranie — to sztuka nielada, to zdolność opanowania sytuacji, zorganizowania spraw toaleto-

wych; to głęboka znajomość własnego typu, form towarzyskich; to atut w kartach, jakimi rozgrywamy naszą partję życiową.

Bo, trudno! tak już jest i tak zawsze będzie, że osoba dobrze ubrana cieszy się nie tylko względami, ale większą dozą szacunku swego otoczenia, niż żaloszny typ w niedbale wtłoczonym na głowę kapeluszu, w rękawiczkach poprutych, bez guzików, na charakterystycznie ściętych obcasach, ubrany w suknię lub okrycie o barwie nietwarzowej, nieodpowiadające krojem budowie, a linją zasadniczą przeczące wskazaniom mody, lub wyjaskrawiające ją w sposób przesadny.

To prawda, że ten specjalny zmysł „dobrego ubrania” jest dany od natury, jak wiele innych zdolności i talentów; ale niezbitą prawdą jest też i fakt, że każda z nas może osiągnąć go, wyrobić w sobie w imię poczucia estetyki, własnego głębokiego zadowolenia i własnej życiowej korzyści.

— Korzyści? — zapytają z politowaniem kobiety „wyższe”, usposobione krytycznie i negatywnie do spraw „gałgankowych” — chyba straty czasu i pieniędzy!

A jednak (niech i ja raz będę po kobiecemu uparta) nie odstępuję na krok od swego twierdzenia: — korzyści. Zapytają Panie: jakich? Wyliczę je tu wszystkie i jestem zgóry przekonana, że nikt mi nie zaprzeczy, a w każdym razie nie umotywuje wystarczająco przeczenia.

Przedewszystkiem, faktem niezbitym jest, że ubranie ma dar oddziaływania na psychikę, a już wygodny, doskonale leżący i zapewniający swobodny chód i harmonijne ruchy, bucik — to pierwszy krok do szczęścia.

Cóż za rozkosz dla kobiety, tak czule reagującej na wrażenia, czuć się dobrze ubraną, czuć się w linii! Doskonale utrzymane, codziennie kąpane, lub starannie myte ciało, wypielęgnowane ręce; przesycona subtelnym zapachem, zawsze świeża i zawsze ładna, chociażby najskromniejsza bielizna; sukienka — poemat dobrego smaku; kapelusz twarzowy; pończoszka doskonale obciskająca nogę; pantofelek wygodny, ładny, dobrze utrzymany; okrycie, torebka, rękawiczki zharmonizowane; głowa uczesana starannie i estetycznie; ogólny wygląd bez zarzutu — oto źródło dobrego samopoczucia, wiary w siebie, a niejednokrotnie optymizmu życiowego.

I znów pełen pogardy, ironiczny uśmiech? Niesłusznie. Wiemy wszystkie — i ja, co piszę te słowa, i Panie, które je czytać będziecie, niezależnie od stanu waszej garderoby i od ważkości, jaką nadajecie tym sprawom — że kobieta dobrze ubrana, kobieta, pewna swego uroku, *żąda*; kobieta „szara”, pozbawiona wdzięku, odwiecznej kobiecości, *prosi* i całem swoim zachowaniem przeprasza za niebywałą swą śmiałość, a nikt nie zaprzeczy temu, że dziewięćdziesiąt dziewięć setnych przypada tym pierwszym — za ledwie jedną setną tym drugim w udziale.

Kobieta dobrze ubrana — to źródło rozkoszy wzrokowej dla otoczenia, ozdoba wnętrza domowego, sali balowej, teatralnej, ulicy, plein air'u; źródło głębokiego estetycznego zadowolenia, zarówno dla siebie samej, jak i dla tych, którym dane jest patrzeć na nią; to wyraz kultury osobistej i kultury narodu.

Przeczę kategorycznie twierdzeniu, aby zasługiwała na miano pustej lalki, jeżeli przywiązuje do swego zewnętrznego wyglądu wagę pierwszorzędą, jeżeli studjuje swój typ, wyjaskrawia plusy, tuszuje minusy; jeżeli chce i umie być piękną, dla drugich, dla siebie.

Nie znaczy to bynajmniej, aby musiała trwonić zapracowane przez siebie, czy dane jej do dyspozycji pieniądze, na gałganki. Umie tylko dobrze i celowo zużytkować swój budżet toaletowy. Nie wie, co to odmówić zaproszeniu, nie wziąć udziału w jakiejś rozrywce, nie pójść do teatru, na bal, czy zebranie dla braku sukni, lub koniecznych do uzupełnienia jej szczegółów.

Nie przypnie do okrycia aksamitnej władczej róży nigdy, a szczególnie wtedy, gdy butoniery skreślono z rubryk mody: nie będzie przechadzała się po ulicy w wizytowych pantofelkach; nie uzupełni strojnej sukni sportowem obuwem na niskim obcasie; nie obwiesi się biżuterjami, naśladować wystawę jubilerską; nie wyleje na siebie flakona perfum o oszalamiającej woni; nie zrobi afrotu dziennemu, letniemu słońcu, każąc mu podziwiać meteorową suknię, szytą dżetami, lub barwnie haftowaną; nie będzie powiewała żorzetowemi skrzydłami długiej sukienki z pod gabardinowego płaszcza; nie wsiądzie do wagonu w jasnych batystach, woalach, jedwabiach; nie olśni współtowarzyszy popołudniowego dancingu toaletą balową... a zresztą, możnaby tak wyliczać i wyliczać bez końca — dosyć, że nie splami swego subtelno toaletowego sumienia śmiertelnym grzechem dysonansu.

W garderobianej szafie pani, która się dobrze ubiera, niema nigdy przeładowania. Niema przede wszystkim nieużytków. Jest to, co francuz tak rzeczowo ujął w słowa „le strict nécessaire”. Po jednej szatce na każdą porę dnia i wieczoru; po jednym sezonowem okryciu; konieczne, dobrze zestawione dopełnienia i przedewszystkiem żadnej „tandety” — na to dobrze ubierająca się pani, o skromnym budżecie toaletowym, jest za biedna. Bo tandeta kosztuje najdrożej i zawsze obniża poziom ubrania. Wychodzi z fasonu, traci kolor, gniecie się, plami, niszczy; jednym słowem, w praktyce kosztuje o wiele drożej, niż porządne tkaniny, obuwie, kapelusze, rękawiczki i t. d. i t. d.

Dobrze ubierająca się pani zna prawa, przywiązane do godzin, do okoliczności; wie, co odpowiada jej figurze, jej wiekowi, jej stanowisku społecznemu, środowisku, w jakim się obraca. Doskonałość swoich poczynań i doskonałość wyników opiera nie na setkach i tysiącach, wydanych na ubranie, a na subtelno zrozumieniu prawdziwie dobrego smaku i wykwintu. Umie „nosić” ubranie, jest zawsze „ubrana”, nawet, gdy jest rozebrana.

To, że nikt na nią nie patrzy, nikt jej nie podziwia — nie gra żadnej roli dla kobiety, która „ma we krwi” poczucie estetyki, dobrego smaku i dobrego ubrania. Przedewszystkiem nie wie, co to jest zaniedbanie stroju domowego, donoszenie niemodnych, lub podniszczonych sukien strojnych „pod sweter”, lub okrycie; umie je przerobić, ufarbować, odświeżyć, zużytkować, a wreszcie sprzedać, lub podarować.

Ma jeszcze jedną nieocenioną umiejętność: umiar w stosowaniu się do mody. „Ostatnie krzyki” nie są jej przykazaniem, nie uznaje ekscentryczności, umie zawsze wybrać i odróżnić to, co jest prawdziwie ładne, od tego, co jest najmodniejsze. Doskonale skrojona i idealnie do typu dostosowana suknię, czy okrycie nosić będzie przez cały sezon, pokaże się w niej w jednym i tem samem środowisku niezliczoną ilość razy i będzie zawsze tą, na której się wzorują i której zazdroszczą.

Pani dobrze ubrana odznacza się swobodą bycia i harmonją ruchów. Wolna od bezustannej troski o to „jak wygląda?” i czy ma wszystko w porządku”, wie,

że wzrok, który na niej spoczywa, nie jest dowodem krytyki, lecz uznania. Wygoda, która chodzi zawsze w parze z umiejętnością ubrania się, zapewnia jej też w dużej mierze pewność siebie, swobodę i harmonję, co wpływa tak dodatnio na całokształt wyglądu kobiecego.

Wanda Dobrzańska.

MONETKA-AKSAMITKA

(dokończenie)

Przedewszystkiem popatrzmy, jaką grzyb ten ma wartość odżywczą i smakową. Orientację ułatwi nam tu poczet grzybów jadalnych, ułożony według wspomnianej ich wartości. Na czele stoją dwa gatunki, w Polsce się nie pojawiające; są to: „muchomor cesarski” (*Amanita caesarea* Scop.) i znana i nam „trufla perigordzka” (*Tuber melanosporum* Vitt). Następnie idą grzyby, rosnące i u nas; i tak:

1. „Grzyb królewski” (*Boletus regius* Krombh).
2. „Trufla letnia” (*Tuber aestivum* Vitt).
3. „Grochówka wieloworkowa” (*Polysaccum pisocarpium* Fr.).
4. „Monetka - aksamitka” (*Collybia velutipes* Curt).
5. „Rycerzyk fiołkowy” (*Tricholoma irinum* Fr.).
6. „Pieczarka szlachetna”, hodowlana (*Psalliotia edulis* Vitt).
7. „Smardz jadalny” (*Morchella esculenta* L.) (nie „piestrzenica kasztanowata”, jadana u nas, choć śmiertelnie trująca i nazywana fałszywie „smardzem” lub „smorzem”!).
8. „Żagiew gałęzista” (*Polyporus ramosissimus* Schaeff).
9. „Lisica maczugowata” (*Cantharellus clavatus* Pers).
10. „Grzyb borowik” (*Boletus edulis* Bull).

Tyle narazie wystarczy, choć gatunków grzybów jadalnych w Polsce mamy zgórą 300! Ale chodziło mi głównie o stanowisko w tym względzie monетки-aksamitki w porównaniu z... „prawdziwką”, borowikiem, czy jak tam go sobie nazywać zechcecie! Ot, i macie, smakosze polscy! Na gorącym uczynku braku kultury smaku złapani, wstyďte się, iż nie tylko nie wiecie, co dobrego ziemia Wasza Wam rodzi, ale że i pojęcia nie macie, iż rodzi ona grzyby ocale niebo lepsze od tak bardzo przez Was poszukiwanych i cenionych borowików, które w Szwecji naprzykład lud ze wzgardą kopie butem, jak Wy taką np. purchawkę łakową, również od borowika i smaczniejszą i pożywniejszą, lub perłowego muchomora, który, hodowany przez Anglików na ogromną skalę w podziemiach Londynu, daje (i Wam też za drogie w imporcie pieniądze!) sławne a znakomite angielskie sosy!

W Niemczech monettkę-aksamitkę nazywa lud „der Winterpilz”; stąd i u nas gdzieniegdzie zwa ją „grzybem zimowym”. Nazwa słuszna; monettka bowiem poczyna się ukazywać dopiero późną jesienią i trwa, owocując bez przerwy a dziwacznie, do końca kwietnia. Grzybowi temu nauka poświęciła już wiele uwagi; w jego życiu bowiem stwierdzono fakt niezwykły, iż wytrzymuje on bez najmniejszej szkody temperaturę... skroplonego powietrza! Sztuka zachowania życia nawet przy 140 st. poniżej zera umożliwia monettce... wyśmiewanie się z nas, przekonanych dotąd święcie, iż grzyby „rosną” tylko po deszczu, jak każe przysłowie! Tymczasem „rosną” one wciąż, bez

ustanku, rozwijając w odpowiednim dla siebie życiodajnym podłożu swą „grzybnięć”; „owocuje” ona jedynie kapryśnie i najczęściej nie wtedy, kiedy chcieliby ludzie. Owocnik grzyba wydaje niezliczoną ilość mikroskopowo drobnych nasionek, zwanych tu zarodnikami lub sporami (przeciętna pieczarka polna wydaje w czasie dojrzwania owocnika, tj. ok. 50 godzin, do 2 miliardów zarodników); dojrzewać i wydawać zarodniki może jednak tylko w odpowiedniej cieplecie. Nasza monetka czyni to więc tylko w dniach odwilży; z ponownym nastaniem mrozu przerywa tę czynność i, lodowaciejąc, wyczekuje spokojnie nowej fali ciepła. Z tej to przyczyny monetki, zebrane z jednego pnia, rzadko kiedy owocują tej samej zimy w tem samym miejscu; wytrawny grzybiarz wie zatem, że nie należy ich poszukiwać w miejscach poprzedniego zbioru.

Fakt ten naprowadził łakomych na nie ludzi na pomysł sztucznej uprawy monetek. Dziś robi się to zagranicą, zwłaszcza w Niemczech, na ogromną skalę. Uprawa ta nie przedstawia żadnych trudności, ani szczególnych przygotowań, takich np. jak uprawa pieczarek lub smardzów. Okazało się bowiem, że wystarczy martwy jakiś pień drzewa liściastego (najlepiej wierzby, klonu, jaworu, topoli, osiki, olchy, kasztanowca, bzu czarnego i t. p.) „zarazić” zarodnikami monetki, by już najbliższej jesieni poczęła tam owocować; odtąd owocuje tam co roku, a tak długo aż pień, zupełnie już przez grzyby te wyspany, rozleci się w drzazgi.

Dla przeszczepienia monetek wybiera się dojrzałe ich kapelusze z okazów świeżo zerwanych, kraje drobno i wrzuca do flaszki, napełnionej czystą wodą; potrząsając często flaszką, pomagamy zarodnikom, wytwarzanym przez blaszki pod kapeluszem, rozejść się obficie w wodzie. Po dokonaniu tego idziemy z owym płynnym siewem na porębę i, zacinając siekierką na 10 do 15 cm. głęboko korę i drewno pnia, zalewamy powstałe rany wodą z zarodnikami; wreszcie miejsca te zalepiamy grubo błotem i obkładamy darnią. Hodowla gotowa.

Późną jesienią idziemy tam znów i przed spodziewanym deszczem zdejmujemy z pnia darń. Niebawem pod wpływem deszczów, rozwinięta już poprzednio w drewnie pnia grzybnia poczyną owocować. Na zaszczeponem miejscu ukazują się setki, a nieraz i tysiące drobnutkich, okrągłych, pięknie złocistomiedzianych główeczek: po kilku lub kilkunastu dniach rozwijają się one w owocniki o coraz bardziej rozplaszczających się, lepkawych kapeluszach barwy miedzianej, pośrodku ciemniejszej, o blaszkach prawie białych lub białawo-żółtawych i o trzonkach długich, cienkich, twardych a elastycznych, najczęściej powyginanych, od góry jasno-żółtych, ku dołowi coraz ciemniejających, wreszcie czarnych, matowych, jakby opalonych, lub aksamitnych.

Monetka-aksamitka, zwarzona mrozem, jest najsmaczniejsza. Grzyb to delikatny, łatwo strawny, pożywny i niezmiernie smaczny. Przyrządza się go, jak każde inne grzyby. Najsmaczniejszy jednak (przynajmniej dla mnie!) kiszony, jak rydze, w soli z cebulą; staje się wówczas tak miękki, że daje się z łatwością rozsmarowywać, jak masło, na chlebie; tak przyrządzone przekąski po wódce godne są najwybredniejszych podniebień!

Sztuczną uprawę monetki-aksamitki prowadzi Niemcy dzisiaj już na ogromną skalę, rozwiązując w ten sposób problem zużytkowania poręb leśnych. Sprawa ta posiada o wiele większe znaczenie dla Polski, gdzie, jak wiadomo, więcej wycina się lasów, niż

by należało; a gdy przytem poręby nasze nieraz długie lata stoją niezalesiane i niekarczowane, więc uprawa na nich monetki-aksamitki stałaby się mogła źródłem nowych dochodów ubocznych dla posiadaczy lasów.

Przedewszystkiem rząd, jako właściciel olbrzymich obszarów leśnych, winien podjąć czempredziej kroki celem zrealizowania tej sprawy, tworząc w mokrych lasach Polesia i Wileńszczyzny stacje doświadczalne. Pokusić się o to wartoby już tej zimy, tak niezwykle mokrej, a dotąd tak łagodnej, przy niezmiernej zwłaszcza obfitości monetki, obecnie samorzutnie występującej.

W kulturze tej zasadniczą rolę gra niezmiernie ważny szczegół biologiczny, ten, że monetka-aksamitka nie jest pasożytem, jak np. głąbik miodowy (popularnie zwany „podpieńką”, *Clitocybe mellea* Wahl., dawniej: *Agaricus melleus* lub *Armillaria mellea*), lecz par excellence roztoczem, opadającym tylko drzewa i krzewy martwe, lub martwe części drzew jeszcze żywych; stąd spotyka się nieraz monetkę i na roślinach żywych, zawsze jednak tylko na uschlłym i butwiejącym konarze lub gałęzi, w wypróchniałej dziupli, bądź wreszcie na martwym korzeniu, nigdy jednak na zdrowych częściach żywej rośliny zielonej.

Obawiać się omyłki przy zbieraniu monetki-aksamitki zimą nie należy, gdyż w tym czasie żadne inne grzyby, do monetki podobne, a trujące, się nie pojawiają. Należy zbierać je wraz z trzonkami, przycinając przy samym drzewie nożem, ostrożnie jednak, by nie kaleczyć grzybków młodych, obok narastających. Do użycia nadają się jednak tylko kapelusze; trzonki twarde, łykowate, można suszyć i następnie wygotowywać na smak do zup i sosów.

Mistrzami w hodowli grzybów z rodzaju monetek są japończycy i chińczycy, którzy od wielu wieków uprawiając je na porębach, lub w piwnicach swych domów na wykarczowanych pniach, stworzyli ze sztuki tej potężny przemysł krajowy. Niezrównaną wprost pod względem aromatu i smaku jest sztucznie uprawiana przez japończyków monetka, zwana tam *Shii-Take*, rosnąca dziko na murszejących korzeniach i pniach wiecznie zielonego dębu *Quercus cuspidata*. Grzyby te suszą w hermetycznie zamkniętych piecach i w setkach tysięcy, a nawet milionach kilogramów rozsyłają w świat szeroki.

My jednak, zanim zdecydujemy się ciągnąć ogromne zyski ze śmiesznie łatwej i niekosztownej uprawy naszej cennej aksamitki, zdobądźmy się na wysilek i odwagę zapoznania się z nią osobiście! Iluż bezrobotnych, co dziś stają się nie ciężarem tylko, ale już widmem grozy i przekleństwem gospodarki społecznej świata, mogłoby stać się niezależnymi eksploratorami takiego np. Polesia, a niebawem i bogaczami! To właśnie jest owem złotem, którego upokarzająco śmiesznie doszukiwaliśmy się napróżno, a z wielkim tylko wydatkiem sił, czasu i kosztów, lat temu parę na Polesiu! Chciwi złota, w pogoni tam za niem po lasach i błotach, niejednokrotnie pewno deptali kępy cudnych monetek, mszcząc się na tych „psich grzybach” za niepowodzenia i krwawy trud swych poszukiwań, nie przeczuwając nawet, że właśnie deptają złoto, jakie za grzyby te hojnie zapłaciłby świat kulturalny!...

...„Man mag in Polen erkannt haben“... że—dzięki bogactwu grzybowemu naszej błogosławionej gleby—moglibyśmy stać się szybko najzamożniejszym, najszczęśliwszym narodem ziemi całej; moglibyśmy się nim stać ...gdybyśmy chcieli, ...gdybyśmy chcieli!

Prof. Feliks Teodorowicz.

CO NOSI PAN W TYM KARNAWALE

Moda męska podlega też zmianom. Wprawdzie w sposób nie tak stały, jak kobieca, ale od czasu do czasu przynosi pewne nakazy, do których panowie chętnie się stosują.

W karnawale pan nosi smoking i frak. Smoking kładzie dopiero między 6 — 7 godz. Jeżeli zebranie jest wyłącznie męskie, albo mieszane, ale bez tańców, obowiązuje czarna kamizelka, czarny krawat, półbuty lakierowane i czarne skarpetki lub pończot-



*Najmodniejsza kamizelka ścięta prosto u dołu.
Photo Paramount.*



Krawat, gors, mankiety i kamizelka z piki w wafelki. Photo Paramount.

chy. Jeżeli na zebraniu przewidziane są tańce, pan pozostawia wszelkie wyżej wymienione akcesorja bez zmiany, kładąc białą kamizelkę pikową. Ładnie odcina się na niej krótka czarna, jedwabna dewizka od zegarka.

Do fraka obowiązuje tak samo wysoki kołnierzyk z wywiniętymi różkami i sztywny gors. Biały krawat i biała kamizelka. Ostatnim wyrazem szyku jest krawat, gors i kamizelka, wykonane z jednakowej białej piki w wafelkowy deseń. Zamiast półbutów może pan włożyć płaskie lakierowane pantofle.

Przed włożeniem palta osłania pan gors i kołnierzyk szerokim, białym jedwabnym szalem.

Mabel.

PRZED I PO BALU

Organizm nasz należy zaliczyć do najidealniej zbudowanych mechanizmów, jednakże nie o tyle idealnych, by nie podlegały zniszczeniu.

Żadna maszyna nie pracuje tak intensywnie i w tak trudnych warunkach, jak maszyna ludzka. Gdyby praca najidealniejszego mechanizmu odbywała się w warunkach, podobnych do pracy organizmu ludzkiego, wątpliwe jest, czy przetrwałaby drobną cząstkę swojego domniemanego żywota. Dodajmy, że gdy w pracy maszyny zauważymy najmniejsze braki, niezwłocznie badamy przyczyny i staramy się je usunąć.

Inaczej jest z naszym organizmem. Gdy jesteśmy zmęczeni, staramy się zazwyczaj nie o odpoczynek, ale o podniecie duchową, by zwiększyć ekspansję sił naszych, będących już na wyczerpaniu. Czyż wracając np. z zajęcia, nie idziemy wprost do fryzjera, czekamy swej kolejki całymi nieraz godzinami, następnie zaś, podnieceni, resztkami sił ubieramy się, by całą noc przepędzić na balu. Nie jestem przeciwniczką wieczorów dla kobiety pracującej. Odwrotnie — należy się jej oderwanie umysłu od szarżyzny życia codziennego; jednakże muszą być zachowane pewne nieodzowne warunki, które uchroniłyby ją od kompletnego wyczerpania i utraty zdrowia.

Zewnętrznym wyrazicielem naszego stanu fizycznego i miarą naszych sił jest nasza twarz. To też staramy się sztucznym tynkiem zakryć i bladeść, i zmęczenie, i zmarszczki, i plamy wątrobiane, i setki innych jeszcze różnych braków. A jak wyglądamy rano po balu, kiedy twarz nasza wraca do normalnego stanu? Ten widok powinien nas pouczyć, że upiększania jej nie należy zaczynać od pudru, szminki i t. p. Te rzeczy są tylko dodatkami, a zatem powinny stać na końcu. Zacząć nasze przygotowanie do balu powinno się od rzeczy podstawowych — od odpoczynku.

To też, mając zamiar spędzić wieczór, czy to na dłuższym dancingu, czy też na balu, należy przede wszystkim po powrocie z zajęcia wziąć kąpiel i położyć się na 3 — 4 godziny do łóżka, zupełnie rozebraną, by dać nie tylko mięśniom, ale i skórze możliwość wypoczęcia, t. j. by nic nie przeszkadzało transpiracji skóry. Dobrze, gdy można zasnąć, a przynajmniej kilka godzin przeleżeć zupełnie spokojnie, w pokoju ciemnym, z nikim nie rozmawiać i nawet starać się o niczym nie myśleć. Taki wypoczynek daje gwarancję, że ekspansja sił, zużytych podczas nieprzespanej nocy, nie odbije się ujemnie na zdrowiu i nawet na wyglądzie.

Po wstaniu należałoby przystąpić do doprowadzenia do porządku włosów, które właściwie powinny być zondulowane dnia poprzedniego, a przed balem tylko poprawione. W najgorszym jednak razie czesać się można w dniu balu, ale po uprzednim zamówieniu ściślej godziny u fryzjera.

Pod żadnym pozorem nie należy spędzać nocy bezsennie, gdy się jest niedysponowaną, wogóle, a w szczególności, gdy następuje pierwszy dzień „miesięcznej niedyspozycji”. Osoby, przechodzące ten okres normalnie, na trzeci, w ostateczności na drugi dzień mogą sobie pozwolić na pewną ekspansję; jednakże panie, uskarżające się na te lub inne nieprawidłowości — czy to w postaci silnych bólów, czy też przedłużania się objawów, lub też ich intensywności — powinny bezwzględnie do ukończenia ich zaniechać nadmiernego ruchu, pozostając pierwszy dzień

w łóżku. Jak duże znaczenie ma odpoczynek pierwszego dnia „niedyspozycji”, świadczyć może fakt niezaprzeczalny, że panie, przepędzające ten dzień w kompletnym spokoju, czują się cały miesiąc dobrze; gdy jednak te lub inne warunki zmuszają je do pewnego w tym dniu wysiłku, cały miesiąc upływa zazwyczaj pod znakiem fizycznego wyczerpania. Osoby pracujące powinny uczęszczać na nocne zabawy nie inaczej, jak tylko w przeddzień święta, by na drugi dzień po nieprzespanej nocy mogły się należycie wyłożyć i wypocząć.

Gdy się zaczyna życie, nie zwraca się uwagi na te wszystkie napozór drobne wskazówki, traktuje się je nawet, jako przesadzone. A jednak zachowanie ich jest nieodzowne dla normalnego ukonstytuowania się organizmu. Od wypełniania tych warunków uzależnione jest nieraz całe życie, albowiem wyczerpany organizm nie łatwo doprowadzić do normy, szczególnie u osób, których życie płynie pod znakiem pracy i ciężkich obowiązków.

Jeżeli już nie o ogólny stan zdrowia chodzi, na co, niestety, wszyscy tak mało zwracamy uwagi, to pamiętać trzeba o swym zewnętrznym wyglądzie. Wszak twarz jest odzwierciedleniem naszego stanu, zarówno fizycznego, jak i duchowego. I każde niedomaganie wewnętrzne odbija się, jak w lustrze, na naszym wyglądzie.

Buź przed doprowadzeniem jej, że tak się wyrażę, do „balowego wyglądu”, należy obowiązkowo przygotować przez natarcie skóry odpowiednim dla każdej cery kremem, albowiem nie należy nakładać ani szminki, ani nawet pudru na samą skórę. Na cerę suchą odpowiednim podkładem może być krem o poniższych składnikach: olejku z migdałów słodkich 7,5 gr., olbrótu 1,8 gr., wody różanej 1,5 gr., wosku białego 0,75 gr., wody kolońskiej 2 krople i nalewki benzoosowej 1 kropla. Zamiast kremu można użyć płynu, przygotowanego z mieszaniny olejku z migdałów słodkich (10 gr.), wosku białego i masła kakaowego (po 1,2 gr.), a także soku ze świeżej cytryny (1 gr.). Z gotowych preparatów odpowiedni może być jakiś krem tłusty, oczywiście dobrego gatunku.

Dla tłustej cery nadają się, jako podkład pod puder i inne dodatki upiększające, kremy suche. Przykładem kremu suszącego może być następujący: wody różanej 10 gr., olbrótu 6 gr., soku z cebulek liljowych 2 gr., nalewki myrrowej 1 gr. i alunu sproszkowanego 0,4 gr. Dla błyszczącej cery nada się goldkrem z dodaniem 3,5 proc. wody różanej i 0,35 proc. octanu cynku. Podkładem, uelastyczniającym skórę, a zarazem utrzymującym puder, będzie następujący krem: Stearynianu sodu 4 gr., gliceryny neutralnej 8 gr. i maści glicerynowej 2 gr., a także nieco perfum dla zapachu.

Kolor szyi, pleców i ramion powinien być zachowany w odcieniu cery twarzy, dlatego też osoby o śniadej cerze nie powinny się ubiegać o zbytne rozjaśnienie ramion, szyi i pleców. O ile jednak okaże się, że posiadają cerę twarzy jaśniejszą, niż kolor ciała, trzeba je nieco rozjaśnić. Takim wybielającym preparatem może być płyn o następującym składzie: spirytusu różanego 25 gr., wywaru z dziurkawca 12,5 gr., tyleż gliceryny, spirytusu i nalewki benzoosowej po 6,2 gr., a także kwasu bornego 7,5 gr. Płynem, utrzymującym dobrze puder, co jest nieodzowne przy dużym dekolcie, może być: wody różanej 25 gr., gliceryny 2,5 gr., podchloranu bizmutu 5 gr. i kropla dobrych perfum dla zapachu.

Jeżeli ręce są nieco szorstkie, należy przed położeniem się do łóżka na kilkogodzinny wypoczynek przedbalowy umyć je w ciepłej wodzie starannie my-

dłem przetłuszczonem w ten sposób, by po kompletnym wymyciu i spłókanu ciepłą wodą jeszcze raz namydlić i pianę dobrze i do sucha wetrzeć w skórę ręcznikiem. Często bardzo już sam ten zabieg jest wystarczający. W wypadkach trudniejszych należy po myciu i wysuszeniu wetrzeć w ręce jakiś udelikatniający krem, np.: masła kakaowego 5 gr., tyleż oleju z migdałów słodkich, tlenku cynku 8,1 gr., boraksu 0,1 gr. i esencji bergamotowej 8 kropel. Z gotowych zaś preparatów dobrym może być tak zwany „krem prałatów”. Po tych zabiegach należy obowiązkowo włożyć na kilka godzin rękawiczki skórkowe. Po powrocie z wieczoru, czy też balu, należy dokładnie się umyć, nie tylko dlatego, by zmyć kurz i brud, ale i dlatego, by usunąć bardzo szkodliwe dla skóry nawarstwienia różu, szminki, tuszu i t. p. Po umyciu się należy wziąć kąpiel o ciepłocie do 30 stopni C., nie dłużej, niż 10 minut i obowiązkowo położyć się do łóżka.

Oczywiście, pogadanka moja zawiera tylko ogólne uwagi i daleka jest od wyczerpujących informacji z dziedziny poruszonego tematu, który jest tak obszerny, że nie sposób ująć go w ramki jednego artykułu. To też postaram się go rozwinąć, podając w następnych numerach wyjaśnienia poszczególnych niedomagań cery i włosów. *Dr. med. Zofja Rostkowska.*

O NAKRYWANIU I PODAWANIU DO STOŁU

Wciąż się o tych obu codziennych zajęciach domowych słyszy i czyta i coraz w tych dziedzinach przybywa udoskonaleń, coraz jedno i drugie ma być łatwiejsze, celowsze, estetyczniejsze. A jednak, jak mało przeciętnych rodzin, o średnich środkach materialnych, może z tych wskazówek korzystać, a jak jeszcze o wiele mniej z nich faktycznie korzysta.

Wszystko polecane jest niezaprzeczenie piękne, niezbyt kosztowne, łatwe do wykonania; tylko, niestety, zawsze się przypuszcza, że: gospodyni domu może cały czas poświęcić na wyłączne zajęcie się domem, lub też, że rozporządza umiejętną, chętną do nauczania się rzeczy nowych, a w każdym razie liczną służbą i — nowoczesnym umeblowaniem.

Pozwolę sobie zacząć od końca. W ubiegłym roku mieliśmy na Żoliborzu wystawę mieszkaniową. Wszystkie pokoje były umeblowane. Lecz, gdzie były te meble estetyczne, wygodne i dostosowane do rozmiarów współczesnych, małych jadalni, sypialni, pokoi mieszkalnych — że tak nazwę ubikacje, które mają jednocześnie zastąpić wyklęty salon, dawno niedostępny buduar, nieużywany (wobec zajęć pozadomowych pana) gabinet i pokój biblioteczny? Było trochę mebli komfortowych, kosztownych i zupełnie zastosowanych do dawnych dużych, wysokich pokoi, oraz trochę mebli metalowych, o dziwnie pokracznych kształtach, nie zachęcających ani do pracy, ani do odpoczynku.

Przypuśćmy nawet, że takie sprzęty mają swoich zwolenników, że komuś się bardzo podobają, że gotów jest niemi swój lokal umeblować.

Ludzi, mogących sobie pozwolić na nabycie całego urządzenia do nowego, z wielkim trudem, kosztem, no i, bądźmy szczerzy, z wielkimi długami wybudowanego mieszkania, jest znikoma ilość. Przypnębiająca większość musi korzystać z mebli, odziedziczonych po rodzicach, kupionych okazyjnie, lub zbie-

ranych sztuka po sztuce, w miarę zdolności płatniczych. Jak rzadko w takich warunkach może być mowa o stołach mahoniowych, okrągłych i owalnych, polerowanych, jak lustro, w którym się cudownie odbijają wiązki orchidei i paproci i na których prześlicznie wyglądają cudne porcelany i jeszcze cudniejsze kryształaty, ustawione na podstawkach z koronek ręcznej roboty.

Owszem, takie nakrycia widywałam, i to już lat temu wiele, nie w stolicy, lecz w bardzo zamożnych dworach wiejskich, dokąd moda przychodziła wprost z Paryża lub Londynu. W domach tych jednak było po dwoje lub kilkoro samej tylko służby męskiej, był stolarz, który każde kapnięcie wina, czy likieru nazajutrz starannie zapolerowywał; był ogrodnik, który dekorację kwietną, według ścisłych wskazówek pani domu i według zasobów cieplarnianego ogrodu, wykonywał i codziennie odświeżał. Na pani domu spoczywało tylko kierownictwo ogólne.

A dzisiaj autorki i autorowie artykułów o nakryciach stołu chcą cały ten ciężar prac, dzielonych pomiędzy kilku specjalistów, zrzucić na barki jednej pani domu, w dodatku przeważnie pracującej zarobkowo, zajętej wychowaniem dzieci, lub oddanej pracy społecznej.

Młode gospodynie, czytające te śliczne artykuły i oglądające śliczniejsze jeszcze ilustracje (przeważnie kopje reklam magazynów naczyń i bielizny stołowej), stają oszołomione przed ogromem ciężących na nich zadań i nie tyle ulepszają system codziennego nakrycia, co boją się urządzić chociażby najmniejsze przyjęcie, ze strachu przed odpowiedzialnością za ogrom wymagań, lub też gorączkowo skupują i kompletują swoje zapasy naczyń, kryształów, serwetek, podstawek i t. p.

W domach zamożniejszych, mniej liczących się z groszem, zbytek doszedł do tego, że całe stoły są pokryte koronkowymi obrusami, te obrusy kwiatami i wstążkami, na których porcelana i kryształy stanowią tylko małe, ledwie widoczne oazy; lecz że takie zbyt skomplikowane nakrycie nie dodaje smaku potrawom, a strasznie deprymująco działa na gości, nie mogących pozwolić sobie na takie zbytki — to pewne. No i te same zamożne domy, mające wszystkie te wspaniałości, kosztem ich zmniejszają ilość przyjęć oraz ilość każdorazowo proszonych gości.

A przez to upada życie towarzyskie!

Niech moje szanowne i bardzo kochane Czytelniczki nie posadzają mnie o brak zamiłowania do estetyki w nakryciu stołowym. Tylko: według stawu grobla! — I jeszcze jedno: zacznijmy reformę od codziennego nakrycia, a przy przyjęciach nie krępujmy się tem, że jacyś oddawna lub od mniej dawna bogaci znajomi wystąpili raz do roku tak wspaniale, jak my nie możemy. Smacznie przyrządzone i estetycznie podane, chociaż na skromnym serwisie i mniej modnej bieliźnie, potrawy będą wybornie smakowały gościom, jeśli je gospodarze okraszają prawdziwą, serdeczną, staropolską gościnnością.

Teraz więc znów wracam do początku.

Co zrobić, aby codziennie stół rodzinny wyglądał estetycznie, bez zwiększenia ilości pracy pani i służącej — wyraźnie mówię o służącej, a nie o służbie w liczbie mnogiej, gdyż tylko jedną służącą rozporządzają dzisiaj rodziny inteligentnie, średnio zamożne, a ta, zajęta sprzątaniami, gotowaniem, przepieraniem i t. p., na nakrywanie do stołu czasu ma minimalnie.

Otóż kolor nakrycia stołu codziennego powinien być biały. Zaraz mnie zakrzyczą, że kolorowe obrusy

PREMJE DLA CZYTELNICZEK „BLUSZCZU“

Kto wnieśli wprost do naszej Administracji 30 zł, t. j. półroczną prenumeratę „Bluszczu“, opłaconą zgóry.

otrzyma, jako bezpłatną premję, jeden z następujących przedmiotów do wyboru:

- 1) MODNY NASZYJNIK (paciorki), odpowiedni do każdej sukni i niezbędny dla każdej eleganckiej pani.
- 2) Zaczętą, z dołączonymi dodatkami, SERWETKĘ na talerz do chleba;
- 3) Znany ze swej dobroci KREM DO RĄK, wyrobu firmy Fr. Puls, w Warszawie;
- 4) FLAKON znakomitej WODY KOLONSKIEJ — PULSA.

Przesyłając prenumeratę, należy koniecznie wymienić, którą premję Pani wybiera, gdyż w przeciwnym razie wyślemy podług naszego uznania.

Niezależnie od tych premij każda 20-ta prenumeratorka, z pomiędzy wpłacających roczną prenumeratę otrzyma bezpłatne wydawnictwo „Sztambuch-Skarbnica romantyzmu“ w opracowaniu St. Wasylewskiego.

Każda setna, dwuchsetna i t. d. otrzyma arcydzieło M. Grossek-Koryckiej p. t. „Świat Kobiety“.

są praktyczniejsze, bo się mniej brudzą, na co odpowiem, że brudzą się jednakowo, a że na nich brud mniej znać, może zrobić przyjemność tylko tym, co formę cenią wyżej od treści.

Oprócz białego obrusa wygląda też ładnie i porządnie obrus z niebielonego płótna. Chcąc zaoszczędzić takiego białego, czy szarego obrusa, możemy pod każde nakrycie położyć sporą serwetkę, okrągłą lub prostokątną, która może być oszyta koronką, obrębioną мережką, a nawet haftowana, byle nie blaknącemi w praniu nićmi, bawełną czy jedwabiem. Takie serwetki w razie splamienia łatwiej zmienić, niż duży obrus.

Ponieważ serwetki do ust też jest trudno zmieniać codziennie, a przykra jest ich zamiana — zamiast dawniej używanych kółek dobrze jest porobić ładne, również białe lub szare koperty, znaczone literami, czy monogramami. Serwetkom, włożonym do takich kopert, nie grozi zamiana, a same koperty wyglądają przy nakryciach równie estetycznie, jak ładnie złożone serwetki.

Chociaż podstawki metalowe lub szklane zupełnie dzisiaj wyszły z użycia, w życiu codziennym nie zrekałabym się ich jeszcze. Każde oparcie bezpośrednio o obrus noża lub widelca, umaczanego w tłuszczu lub sosie, pozostawia ślad. Wszystkie podstawki powinny być zupełnie jednakowe i starannie utrzymane. Łyżka do zupy i łyżeczka deserowa mogą leżeć wprost na obrusie, gdyż po użyciu łyżki zostawiamy ją zawsze na talerzu.

Naczynie codzienne również najpraktyczniejsze jest białe, ze względu na to, że najłatwiej je dokompletować. Nic niema brzydszego, jak stół, zastawiony różnokolorowemi szczątkami różnych serwisów. Jeżeli chcemy mieć koniecznie porcelanę ozdobną, to kupujemy ją ze złożonym lub błękitnym (kobaltowym) brzeżkiem: te dwa rodzaje porcelany znajdują się prawie zawsze w handlu.

(d. c. n.)

KORESPONDENCJE

Pani Wandzie Reaubourg w Krakowie. — W poruszonej przez Szanowną Panią sprawie wzorów na haft bułgarski donosimy, że w jednym z najbliższych numerów damy wzór obrusa i serwetek, użyczony nam łaskawie przez organizatorkę wystawy haftów bułgarskich, panią ministrową Robeff.

Ceny książek premjowych „Bluszczu“ podaliśmy w Nr. 3. Żądany przez Sz. Panią adres otrzyma Pani drogą listowną.

J. K. z Gdyni. — W sprawie informacji o kursa higieny, zechce się Szan. Pani zwrócić do sekretariatu Państwowej Szkoły Higieny, Warszawa, Chocimska 24.

ODPOWIEDZI DZIAŁU „HIGIENY I KOSMETYKI” LEKARSKIEJ.

P. Marji K. w Łomży. — Z listu Pani sędzę, że chodzi o „Liszaj mieszkowy“. Otóż miejscowo proszę spróbować mycia mydłem siarkowym i wcierania kremu o składzie następującym: rezorcyny i kwasu salicylowego po 0,6 gr. i pasty cynkowej 20 gr.

Anielce. — Częstość i sposób mycia głowy zawsze uzależnione być winny od stopnia tłustości skóry głowy i włosów, o czym Pani nie wspomina. Ogólnie należy zauważyć, że tłuste włosy trzeba myć częściej, chociażby nawet co kilka dni; suche zaś rzadziej: co 2 — 4 tygodnie. Zechce Pani napisać wyczerpująco o swoich włosach, a postaramy się dać odpowiedź możliwie dokładną.

Zmartwionej. — Masaż, jak każdy zabieg lekarski, musi być wykonywany przez specjalistę, w przeciwnym bowiem razie otrzyma się tak niepomyślne rezultaty, jak to miało miejsce u Pani. — Zmarszczki u osoby 25 letniej powinny być leczone nie tylko zewnątrz, ale i wewnątrz, przyczem należałoby ustalić przyczynę, gdyż w tak młodym wieku zjawianie się zmarszczek należy do objawów chorobowych. Grać tu może rolę cierpienie gruczołów o wewnętrznej wydzielinie, a może powodem było ogólne wycieńczenie, z którym tak często spotykamy się obecnie, jako rezultatem nieracjonalnie prowadzonego odchudzania.

DROBNE OGŁOSZENIA

GOSPODYNIA wiejska z gotowaniem potrzebna od zaraz. Świadczenia i rekomendacje konieczne. Piotrków Trybunalski skrz. 2. Mzurki.

ABSOLWENTKA seminarjum ochraniarskiego i kursu świetlicowego szuka posady. Emilja Górecka, Będzin, Ksawerowska 37.

UCZENNICA poszukuje skromnego pokoiku i serdecznej opieki w rodzinie kulturalnej na czas czterodniowych wakacji. Oferty do Redakcji dla Czarnuszki.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“, Warszawa, Rymarska 8.